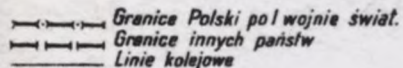


Karol Jarosławski

CZY KTOŚ JESZCZE PAMIĘTA?



28



Karol Jarosławski

Czy ktoś jeszcze pamięta?



Życie moje przepełnęło. Mimo szeregu trudnych zdarzeń, które chcę przedstawić w tych wspomnieniach, szczęście mnie nie opuszczało.

Dziś, będąc w zaawansowanym wieku, postanowiłem opisać jak wyglądało życie małego dziecka a później młodego człowieka w okresie wojny i okresie powojennym.

Pochodzę z rodziny mieszczan (podział był taki: chłop, mieszczanin, inteligencja, szlachta) zamieszkałej w cudownej okolicy otoczonej Dniestrem – z Mariampola. Dziś jest to wioska w Ukrainie, ale kiedyś to było miasto w Polsce z przedmieściem i wsią Wołczków. Mariampol był miejscowością wczasową. Góra zamkowa z trzech stron otoczona była Dniestrem a od strony miasta były mury obronne. Nie było mostu, była tylko przeprawa promowa przez rzekę. Mariampol zamieszkiwali ludzie różnych narodowości. Centrum pod wzgórzem zamkowym zamieszkiwali Żydzi, dalej mieszczanie i chłopci pochodzenia polskiego lub ukraińskiego. Każda nacja miała swoje budynki: Polacy dwa kościoły, w tym jeden klasztorny (dziś – więzienie) i kółko rolnicze; Żydzi synagogę; Ukraińcy cerkiew i czytelnię. Dziś ten podział jest tylko wspomnieniem, jednak

w czasach mojego dzieciństwa to był podział prawie kastowy. Oprócz nazwisk każdy posiadał jakiś przydomek albo pseudonim i najczęściej tymi nazwami posługiwali się mieszkańcy.

W mieście były dwie piekarnie (jedna żydowska), dwie rzeźnie żydowskie, olejarnia, dwie kuźnie, gospody, młyn nad Dniestrem, skup płodów rolnych założony z funduszy społecznych, kółko rolnicze z salą koncertową na górze, punkt mleczarski, zakłady krawieckie, posterunek policji. To było tło mego dzieciństwa.

Mieszkaliśmy w dawnym budynku szkoły, a właściwie w jego jednej części, gdyż drugie skrzydło zostało uszkodzone przez pocisk w czasie pierwszej wojny. Wybudowała go mieszkanka pochodzenia francuskiego i prowadziła w nim szkołę. Gdy zachorowała, zaopiekowała się nią moja babka i w zamian otrzymała ten budynek. Wokół domu był ogród i sad. Dla pełnego obrazu przedstawię rodzinę. Dziadków nie znałem, ponieważ zginęli na froncie pierwszej wojny światowej. Babka ze strony ojca też nie żyła, więc ojciec wychował się jako sierota (co w tych czasach nie było łatwe). Ojciec miał brata, który jako pięcio-sześcioletni

chłopiec został zabrany pod opiekę do rzeźnika mieszkającego w Stanisławowie. Babka ze strony mamy żyła i mieszkała osobno. Rodzice prowadzili gospodarstwo rolne, a ponieważ gospodarstwo wymagało inwestycji, to rodzice zajmowali się dodatkowo innymi zajęciami. Mieliśmy pola w trzech miejscach: najdalsze trzy kilometry od domu (Gniłe), drugie wąskie na sześć metrów i długie na dwa kilometry dochodzące do lasu oraz trzecie pod górą. Mieliśmy uprawy ziemniaków, kukurydzy, zboża. W gospodarstwie mieliśmy krowę zarodową, kury, kozy, świnię. Mieliśmy też plantację tytoniu. Ojciec, z zawodu rymarz, zimą produkował uprząże (szyjąc ozdobne chomąta i inne akcesoria uprząży), a latem pracował na roli lub przy murarce. Ojciec często handlował końmi, kupował żrebaki, wychowywał je i uczył chodzić w zaprzęgu. Tuż przed wojną wyjechał na targ z parą młodych koni jednakowej maści i już na drodze trafił się bogaty kupiec, który kupił konie wraz z uprzężą, a ojciec wrócił późną nocą, bo musiał kupić starą chabetę do ciągnięcia wozu.

Rodzice często wyjeżdżali na targi do sąsiednich miejscowości, handlowali owocami (kupowali sady ze zbiorami „na pniu”, następnie zbierali, przechowywali

owoce w słomie a potem sprzedawali). Nieobecność rodziców zmuszała nas (mnie i brata) do pracy w domu i obejściu. Między innymi należało do nas wypędzanie bydła na gminne pastwisko (tam był wynajęty pastuch do pilnowania), na wydój południowy było wracało samo, a po powrocie z pastwiska trzeba było było poupinać. Do stałych czynności, poza szkołą, należało przygotowywanie opału na zimę, rżnięcie słomy dla bydła i uprawa 0,20 ha tytoniu – od sadzenia do zbioru, suszenia i później pakowania.

Poszczególne etapy wyglądały tak: sadzenie, podlewanie, odchwaszczanie, łamanie liści tracących kolor czyli zbiór, przywóz do domu, wbijanie grzbietów liści na druty. Po wysuszeniu tytoń był pakowany według klas (całe liście w paczuszki) i odwożony do fabryki tytoniu. Ręce były czarne od smoły. Tytoń wysadzało się do gruntu po piętnastym maja, po ustabilizowaniu się pogody, a zbiór odbywał się systematycznie od lipca do września. Mieszkaliśmy w pobliżu synagogi, a naprzeciw mieszkał szkolnik czyli taki rzeźnik, który zabijał drób, żeby był ko szerny tzn. nie mógł dotknąć nożem, brzytwą ko ści. Mimo szeregu obowiązków nie brakowało czasu

na zabawę i psoty. Teren do zabawy był wymarzony szczególnie na zamku i nad rzeką. Pamiętam okres przedwojenny, kiedy miałem pięć lat (niektóre momenty utrwaliły się w pamięci bardziej) chodziłem do przedszkola, które mieściło się w klasztorze i w tym przedszkolu nauczono mnie piosenki „nasi żołnierzyki na placówkach stoją i śpiewają bolszewikom, że się ich nie boją”. Za śpiewanie tej piosenki ojca o mało nie rozstrzelali Sowieci. Pamiętam mobilizację w 1939 roku, pierwszy nalot samolotów, okres najazdu Sowietów poszukujących polskich żołnierzy po domach. Gdy w naszym domu znaleźli siodła wojskowe to o mało nie stała się tragedia – ledwo się ojciec wytłumaczył, że ani żołnierzy ani koni nie ukrywa, siodła znalazł porzucone na drodze, a ponieważ jest rymarzem, to zabrał skórę do remontu uprzęży.

Pierwszych Sowietów mało pamiętam, ale skutki ich bytności mi utkwiły, bo nocą wypróżnili kilka domów wywożąc ich właścicieli na Sybir. Ludzie żyli w ciągłym strachu, żeby nikomu się nie narażać, bo i Żydzi i konfidenci ukraińscy wyżywali się na Polakach. Okres ten był trudny – brak było

zapalek, mydła, nafty do lamp i innych produktów pierwszej potrzeby z ubraniami włącznie.

Muszę się jeszcze cofnąć do okresu przedwojennego, żeby przedstawić stosunki międzyludzkie w ostatnim okresie przed wybuchem wojny. W celu ograniczenia hegemonii Żydów w skupie i handlu ksiądz Bosak – bardzo dobry gospodarz nie tylko w zakresie rolnictwa – zorganizował skup produktów rolnych w domu ludowym (kółku), gdzie na dole była mleczarnia i skup płodów a na górze sala teatralna. Sam sprowadzał nawozy, nowe narzędzia i maszyny rolnicze. Na zebraniach propagował postęp w rolnictwie, dawał przykłady do lepszej uprawy i przechowywania. Miał w projekcie budowę zapory, którą już nawet rozpoczęto. Mimo, iż część ludności była w dużej biedzie, a na przednówku nieraz brakowało chleba, to postęp był już widoczny.

Jak wspomniałem, zorganizowanie skupu i ograniczenie samowoli pośredników rodziło pewne napięcia, co w okresie wojny bardziej się uwidoczniło.

Najazd Niemców w 1941 roku spowodował, iż Sowieci puciekali zatapiając sprzęt w rzece (podobnie jak to uczynili Polacy w 1939 roku).

Nacjonaści ukraińscy liczyli, że Niemcy utworzą im niepodległą Ukrainę, co znowu odbiło się na stosunkach międzyludzkich.

Niemcy rozpanoszyli się na dobre, zajęli zamek, pozajmowali większe pomieszczenia na kwatery. Wszędzie stacjonowały samochody tankietki i inny sprzęt wojenny. Ludność obowiązkowo musiała świadczyć na rzecz okupanta kontyngenty oddając zboże, mleko, żywiec. Ludzie z łapanki wywożeni byli na roboty do Niemiec. Pozostali musieli świadczyć usługi na rzecz utrzymania dróg i transportu.

Rozpoczęła się budowa mostu na rzece Dniestr. Dzień i noc pracowały kafary wbijając pale w dno rzeki. Po wybudowaniu mostu zaczęły się nieustanne transporty na wschód, a z powrotem sanitarki transportowały rannych do szpitali.

Drogi na tych terenach nie wytrzymały tak znacznych obciążeń, zapadały się. Do naprawy dróg zorganizowano szarwarki, czyli obowiązek pracy dla ludzi i sprzętu.

Jak wyglądało życie pod okupacją Niemców nie będę opisywał, bo to rzecz znana, wspomnę o niektórych epizodach, w których sam uczestniczyłem. Latem

przyglądałem się pracy rusznikarza, który remontował i przestrzeliwał (wypróbowywał po naprawie) karabiny maszynowe. Zawsze po naładowaniu taśm można było oglądać przestrzeliwanie.

Mieliśmy znajomych Niemców, niektórzy przychodzili do domu i wymieniali cukier lub masło za jajka. Matka знаła niemiecki z czasów pierwszej wojny światowej. W kościelnej łapance zabrali ojca do transportu, ale dzięki znajomości języka i znajomości dowódcy jednostki udało się matce uratować ojca przed wywózką.

Wokół naszego domu stacjonowało sporo samochodów wojskowych oraz dowództwo jednostki (rozrośnięte akacje stanowiły świetny kamuflaż). Stanowiło to dla nas zagrożenie nie tylko w rozmowie, ponieważ część żołnierzy pochodziła ze Śląska i znała język polski, ale i w zabezpieczeniu żywności na okres zimy i przednówka. Posiadany inwentarz był kolczykowany, jednak większe prosiaki znikwały a kolczyki były montowane na warchlakach. Operacja ta, jak również ubój, musiała przebiegać w ciszy. Stosowano różne metody uciszania, najczęściej podkładano prosiakowi wiadro z otrębami lub mąką co utrudniało mu kwiczenie. Po zabiciu i sprawieniu mięsa można je było zamarynować, a pojemniki

zakopać lub gdzieś schować. Gorzej było z topieniem słoniny, której zapach rozchodził się w promieniu znacznie dalszym niż rozlokowane wojska. Żeby nie budzić podejrzeń topiło się parę skwarków w małym rondelku na boku kuchni, a pod przykryciem w rondlu zasłoniętym innymi garnkami topiono pozostały tłuszcz. Ponieważ wizyty Niemców w mieszkaniu miały miejsce pod różnymi pretekstami, nie można było ryzykować wywózki do obozu.

Mieliśmy jednego znajomego, który nie stacjonował blisko naszego domu, ale często przychodził, żeby porozmawiać o tym co dzieje się na froncie. Czasem prosił matkę, żeby przygotowaną przez niego paczkę wysłała do rodziny w Niemczech firmując swoim adresem nadawcy. To był starszy, bardzo uczynny człowiek. Nieraz nam pomagał, dzięki niemu czasem na stole był cukier. Jednego razu przyszedł zmartwiony, bo nie wiedział co ma robić: jego pojazd uszkodził jeniec pomagający utrzymać sprawność sprzętu – wjeżdżając na podwórko zerwał sprzęgło od ciągnika. Niemiec musiał o tym zameldować, a to dla jeńca skończyłoby się śmiercią, a przyjęcie winy na siebie pozbawiłoby go urlopu i groziło wyjazdem na front

wschodni (czego strasznie się obawiał). Pamiętam ten incydent, bo starszy człowiek płakał.

Inne zdarzenie to Stalingrad, o którym żołnierze nie byli informowani, a my wiedzieliśmy, że coś się dzieje z rozmowy ze znajomym, zaufanym żołnierzem (wcześniej wymienionym). Matka zauważyła, że przy wozie sztabowym, gdzie często odbywały się narady, wartownik chodzi dalej niż zwykle i jest bardziej czujny. Do budynków gospodarczych trzeba było przechodzić obok tego pojazdu. Matka trzasnęła drzwiami domu i zadzwoniła wiadrami jak zwykle, więc wartownik nie zwrócił na nią uwagi. Ona przechodząc obok pojazdu przystanęła i z podsłuchanej rozmowy wywnioskowała, że chodzi o Stalingrad, ale wciąż nie było wiadomo, kto wygrywa bitwę. Długo trzeba było czekać na informacje co się tam stało.

Znajomy nasz też długo nie wiedział, a na front wschodni i tak pojechał, i ślad po nim zaginął. Dzień i noc jechały transporty kołowe konne i samochodowe do przeprawy na wybudowany most i dalej na front. Szkołę (nowowypudowaną w 1938 roku) zajęli ranni i po opatrzeniu transportowano ich dalej. My uczyliśmy się w jednej części budynku, a w drugiej części

byli ranni i trupy. Pustych budynków przybyło po wywiezieniu Żydów do lagrów i getta. Wypędzono ich w nocy. Centrum opustoszało. Ludność, mimo sankcji, poszukiwała poukrywanych rzeczy, opału i innych dóbr, które w czasie wojny były niezbędne.

Sam getta nie widziałem, ale pamiętam, jak matka wróciła od znajomych ze Stanisławowa i opowiadała, jaki widok z okien mają i co sama widziała – co Niemcy i inni oprawcy robili z Żydami. Wystarczyło uderzenie kolbą po głowie i funkcjonariusze ładowali trupy na platformę, i pod konwojem wywozili do lasu do przygotowanych dołów.

W 1942 roku rzeka wylała, zatopiła cały obszar aż do horyzontu widzianego z góry zamkowej. Zatopione domy, w wodzie płynęli ludzie wołający pomocy, zwierzęta domowe i dzikie. Po zniszczeniach spowodowanych powodzią ludność pozbawiona została żywności. Na wiosnę brakowało wszystkiego, ludzie umierali z głodu.

Pamiętam Hucuła, który dotarł do naszego domu i opowiadał, że to co miał musiał wymienić na żywność, żeby przeżyć, a w domu została żona z trójką dzieci bez krzty pożywienia. Wszystko co można było

wymienić na żywność zabrał i już nic nie ma.

Na strychu naszego domu była fasola z różnych zbiorów nieużyta na karmę. Matka zniosła dwa pojemniki tej fasoli, a on zaczął jeść surową. Tak wyglądało w tym czasie życie ludzi. Nam również zabrakło zboża na chleb, mimo że nasze pola nie ucierpiały od powodzi. A do wypieku chleba dodawano różne dodatki jak wysłodki buraczane, mielony bób czy fasolę. Ważne było, żeby nie chodzić z pustym żołądkiem. Wiosną zupy gotowane były z wszystkich chwastów, które ludzie znali z czasów pierwszej wojny jako jadalne.

Mówiąc o chlebie nie sposób pominąć jak robiona była mąka. Każde gospodarstwo posiadało żarna, bo mimo iż na miejscu był młyn, to obowiązywał zakaz mielenia dla gospodarzy, którzy się nie wywiązali z nałożonego kontyngentu. A zatem ziarno mielone było na żarnach ukrytych w ciemnym kącie pod słomą. Mleko trzeba było w całości oddawać do mleczarni, ale tam można było otrzymać część odciągniętego mleka – i to mleko i mielona kukurydza były podstawowym produktem dla wyżywienia ludności. Kulesza – tak nazywała się potrawa z krupy kukurydzianej

i mleka. Jeżeli żarna zostały skonfiskowane, kamieniarz robił nowe z kamienia zgromadzonego na tamę (i tak w kółko).

Braki materiałów na odzież i skóry na obuwię powodowały, że ludzie chodzili prawie w łachmanach. Cerowano wszystko co się dało. W cenie były koce wojskowe, z których robione były kurtki i płaszcze. Do szycia wykorzystywano maszynę Singer, na której szyte były i skóry na buty, i koce na kurtki. Maszyna taka jest jeszcze do dziś u mojej siostry i o dziwo szyje. Zdawałoby się, że to była sielanka, jednak w zimie spodnie kleiły się do ciała, gdy piłowało się drewno na opał. Piła była długa, ciężka, a ja z bratem nieraz musieliśmy upiłować parę polan, żeby było czym zapalić w domu. Nocą temperatura w pomieszczeniach spadała poniżej zera i woda w naczyniu niejednokrotnie zamarzała.

Gospodarze ściągali drzewo z lasu tylko zimą, kiedy można było przez rzekę przejechać po lodzie. Po moście jeździli tylko Niemcy. Wokół na polach ustawiona była obrona przeciwlotnicza do ochrony mostu. Codziennie wyjeżdżali do lasu ludzie grupami, by pozyskać drewno i zwieźć je saniami do domu. Kolumny sań ciągnęły się

jedne za drugimi i w razie awarii lub postoju łatwiej było ruszyć sanie czy to drugą parą koni czy drągami przez ludzi. Praca ta była ciężka i niebezpieczna. Pod koniec wojny lasy były opanowane przez różnego rodzaju bandy z własowcami włącznie i pozysk drewna ustał. Ludzie zbyt często ginęli, a żyć trzeba było.

Ludność była narażona na łapanki niemieckie i wywózki na roboty. Na nocne naloty band, leśnych partyzanek różnych orientacji politycznych – zabierali wszystko: od żywności, zwierząt domowych po lepszą odzież itp.

Po wyjeździe wojsk niemieckich, sytuacja jeszcze się pogorszyła, ponieważ uaktywniły się bandy UPA. Codziennie dochodziły wiadomości o spalonych osiedlach polskich i wymordowanej ludności.

Ludność polska organizowała się do obrony. Skupowano broń i amunicję. Dobre nastawienie do Polaków mieli Węgrzy. Powierzali dzieciom konie, żeby je napoiły w rzece, a za to otrzymywały czekoladę, co na owe czasy stanowiło nie lada rarytas. Sam doświadczyłem tej przyjemności i chyba pierwszy raz wtedy jadłem czekoladę.

Pierwszy mord ukraiński w naszej miejscowości miał miejsce w stosunku do osoby duchownej, proboszcza

tutejszej parafii, wspaniałego organizatora i gospodarza – ksiądz Bosak został uprowadzony z domu pod pretekstem konieczności zgłoszenia się do urzędu, a następnie zamordowany w nocy z 23/24 sierpnia 1941. Tej daty nie pamiętam, ale pamiętam, że jako uczeń musiałem być w asyście przy katafalku. Długo nie mogłem zapomnieć tego widoku. Pierwszy raz widziałem trupa ze śladami po kulach. Dla dziecka taki widok, łącznie z płaczącymi ludźmi podczas przemarszu i pogrzebu, to przeżycie, którego się nie zapomina. Nie wszystko rozumiałem, ale wiedziałem, że jest wojna, że krzywda dzieje się wszystkim ludziom i tym wywiezionym nocą w ziemie, i tym, którzy pozostali pod szykanami okupacji tak jednych jak i drugich wojsk.

Czas uciekał bez względu na warunki w jakich się żyło. Każdego dnia dochodziły wieści o spaleniach wiosek, osiedli i przysiółków zamieszkałych przez Polaków i wymordowaniu ich mieszkańców. Ludność masowo opuszczała własne gospodarstwa i gromadziła się w miastach lub ukrywała w ziemiankach leśnych. Front zbliżał się każdego dnia. Nocami miasto było oświetlone, a artyleria przeciwlotnicza często

otwierała ogień do samolotów. Reflektory oświetlały cały obszar nieba nad miejscowościami, a szczególnie nad mostem, który spełniał rolę szybkiej przeprawy. Jednego razu nadleciały w dzień samoloty radzieckie i zrzuciły małe bomby, widać było jak ręka wyrzuca coś z kukuruźnika. Bomby nie upadły na kuchnię wojskową, gdzie wydawany był obiad dla żołnierzy niemieckich, a trafiły w sąsiednie gospodarstwo, gdzie mył się młody chłopak po szarwarku. Zginął on, jego matka, która stała przy oknie, a jego ojciec postradał zmysły.

Samoloty ciągle walczyły w powietrzu. Jednego razu po takiej walce jeden z samolotów – niemiecki messerschmitt, przeleciał pod linią telefoniczną i wbił się w pole. Przelatując nad drogą „ściął” kilka osób idących na front. Niemcy szybko usunęli trupy, a lotników zabrali do szpitala. Samolot stał dość długo. Rolnicy korzystali z różnych linek przydatnych w gospodarstwie oraz paliwa, które z baków czerpane było butelką na sznurku. Niemcy nie mieli czasu sprzątać tego wraka, a dzieci miały nowe miejsce do zabawy. Sam o mały włos nie straciłem życia w tych zabawach. Brat odkrył właz, pod którym umocowany

był ciężki karabin maszynowy, pociągnął za łańcuch i karabin wystrzelił pociski, poszybowały w pobliżu mojej głowy w pole. Od tego czasu wszyscy chcieli strzelać, jednak ktoś wymontował broń i skończyła się niebezpieczna zabawa.

Uciekające wojska niemieckie porzucały cięższy sprzęt po różnych zaściankach, najczęściej ręczne granatniki przeciwpancerne (pancerfausty). W tym okresie udręką dla mieszkańców były wiadomości, iż ostatnia obrona niemiecka to własowcy i oni mają wysadzić most na rzece (a wiadomo co oni robili z ludnością polską). Pamiętam, że wszyscy domownicy pochowali się po różnych zakątkach. Ja wlałem pod krzak agrestu i zasnąłem, obudził mnie huk wybuchów na rzece. Wszyscy mnie szukali, a nie mogąc znaleźć poszli do schronu (piwnicy pod rzeźnią). Po następnych wybuchach ponownie wyszli mnie szukać i wtedy na wołanie odpowiedziałem ale wyjść nie mogłem, bo kolce agrestu uniemożliwiały mi wyjście spod krzaku.

Rano okazało się, że mamy u siebie ponownie „towarzyszy” – Sowietów. Zaczęła się nowa gehenna – tworzenie spółdzielni produkcyjnych tzw. kołchozów.

Młodych zaczęto wcielać do wojska, a podejrzanych

o przynależność do AK wywozić na Sybir.

Niby mieliśmy mieć wolność, a napady banderowców nasilały się. Ludność wartowała nocami i zdawałoby się, że nic nam Polakom nie grozi.

W marcu 1944 nastąpił napad banderowców na polską wieś Wołczków sąsiadującą z przedmieściem. Wieś była na pagórku, więc widać było jak banderowcy latają z pochodniami i podpalają zabudowania. Zabito pięćdziesiąt osiem osób. Część ludzi uratowała się, bo wcześniej opuściła domostwa przenosząc się do rodzin w mieście.

Epizod napadu utkwiał mi w pamięci bardzo głęboko. Wyrwany ze snu zobaczyłem w oknie straszną łunę na wieżach kościelnych i większych budynkach. Czasu było mało, bo natychmiast musieliśmy uciekać. Zdążyłem ubrać jeden but i jedną skarpetkę, i tak uciekałem z matką i rodzeństwem nad Dniestr, tam pochowaliśmy się za brzeg i tak doczekaliśmy do rana. Ojciec pozostał do pilnowania zabudowań w ramach warty. Dopiero rano widać było obraz zniszczeń – w dymie stojące kominy, swąd spalonych ciał ludzkich i zwierzęcych. Wszyscy zamordowani spoczywają w jednej mogile z wyszczególnieniem

nazwisk i wieku. Patrząc z perspektywy czasu nasuwa się pytanie, czy któraś grupa zwierząt potrafi się mordować tak jak ludzie.

Jak już wspomniałem praca wypełniała cały czas wolny poza szkołą. W szkole za pierwszych Sowietów obowiązywał język rosyjski – niewiele pamiętam; następny okres to okupacja niemiecka – również niewiele się nauczyłem, mimo że obowiązywał język polski a niemiecki dopiero w wyższych klasach. Warunki do nauki były trudne, dziś wręcz nie do wyobrażenia. Jak była nafta to można było zapalić lampę, przy niej pracowali starsi, jeden czytał książkę, a pozostali zajmowali się szewstwem, a ojciec rymarką. Dzieci mogły na boku pisać czy odrabiać lekcje, jak było czym i na czym. Książek szkolnych nie było, wszystko się zapisywało o ile się zdążyło. Raz nie zdążyłem zapisać, przechyliłem się do sąsiada, żeby odpisać brakujące zdanie a wtedy trzcinka wylądowała mi na plecach. Dyscyplina była ogromna nie tylko w domu ale i w szkole. W takich warunkach uczyłem się do trzeciej klasy, ale jej nie ukończyłem, bo zmieniły się okoliczności. Wiosną 1945 r. Sowietci zaczęli brać wszystkich mężczyzn do wojska. Ojciec otrzymał powołanie, mimo iż

był niezdolny do służby wojskowej z uwagi na wypadek (jeszcze z czasów służby wojskowej). Rodzice zaraz po świętach wielkanocnych wybrali się do Stanisławowa, aby pobrać karty repatriacyjne dla całej rodziny i wyjaśnić kartę powołania do wojska. W drodze powrotnej ludzie idący dla bezpieczeństwa w grupie zostali napadnięci przez banderowców i zamordowani. Po prostu nie wrócili do domu. Nikt nie zna miejsca ich śmierci i spoczynku.

Od tego momentu wszystko się zmieniło. Całe gospodarstwo spadło na nasze barki. Ja załamane się całkowicie, cały czas płakałem, nie umiałem wyobrazić sobie co będzie z nami dalej. Z rodziny była jeszcze babka i wujek, którzy mieszkali w pobliżu. Jednak wiele pomocy nie mogliśmy od nich oczekiwać. Babka chorowała i często była leżąca, wujek był inwalidą i praca sprawiała mu duże trudności. Ludzie obcy współczuli nam, ale nikt nie zaofiarował się z konkretną pomocą, każdy miał własne kłopoty. I wtedy mój starszy (trzynastoletni) brat zawziął się, że damy sobie radę sami. Los jednak sprzyścił się przeciwko nam. Wujek wziął konia z wozem i pojechał do młyna zmielić zboże, w międzyczasie ukradli mu konia, a przecież

w tym okresie koń był podporą rolnika. Jak się krowa ocielila to dawała tyle mleka, że nie było wiadomo co z nim robić. Cielę piło ile chciało, pies już nie chciał pić, my na mleko też już nie mogliśmy patrzeć, a chleba nie było, nie miał kto nam upiec.

W międzyczasie Polacy otrzymali kartki pod drzwiami, że mają się wynieść w ciągu 24 godzin. Ludzie zaczęli szykować się do wyjazdu. Szykowali się wszyscy, cała parafia. I wtedy brat oświadczył, że też wyjeżdżamy. Na prośbę babki ksiądz Witkowski załatwił, że zostaliśmy dopisani na jego kartę. Ale babka postanowiła, że naszej siostry siedmioletniej nie puści z nami, bo gdzieś zgubi się nam po drodze. Dla nas napiekła sucharów na drogę.

Wyjazd to drugi rozdział mojego życia.

Deszcz padał, a my jechaliśmy do Stanisławowa furmankami. Niewiele pamiętam z tego przejazdu. Wiem, że mienie parafialne wiozły furmanki do ogrodzonego obiektu kościelnego. Kościół i pozostałe zabudowania otoczone były murem. Później po wojnie tego obiektu nie umiałem znaleźć.

Więcej wspomnień pozostało z pobytu w Stanisławowie.

Cały miesiąc miasto było do naszej całodziennej obserwacji. Naprzeciwko naszego lokum grał bez przerwy patefon czy głośnik, a naszym codziennym zajęciem było jeżdżenie trolejbusami po mieście. Jak nas wyrzucił konduktor w jednym miejscu, to czekaliśmy na następny trolejbus i dalej w drogę. Pamiętam jak wojsko eskortowało na stację kolejową trumnę ze zwłokami jakiegoś oficera wyższej rangi. Orkiestra grała marsze żałobne, a myśmy szli w tym pochodzie w kierunku dworca.

Uczyliśmy się życia. Że jest inne światło niż lampa naftowa wiedziałem z oświetlenia młyna w Mariampolu, ale z prądem bezpośrednio nie miałem styczności, a tu żarówki świeciły jasnym światłem. Zacząłem interesować się czym jest ten prąd – że płynie przewodami do każdego domu. Wkrótce przekonałem się, że to dobrodziejstwo jest niebezpieczne i może spalić człowieka, co stało się na jednej z ulic w czasie remontu instalacji. Ja i mój brat byliśmy częstymi gośćmi na placu targowym. Z powodu braku gotówki tylko przyglądaliśmy się pełnym straganom, a pokusa była duża, bo często byliśmy głodni. Zapas sucharów ubywał, a przed nami była droga na „zachód”. Jednego razu zauważyliśmy,

że gospodyni przelicza utarg i wyciąga pół banknotu, a ponieważ drugiej części nie znalazła to tę połówkę wyrzuciła. Zabraliśmy tę połówkę i zaczęliśmy nią płacić, a jeszcze dostawaliśmy resztę. Jeśli brat kupował i płacił, to ja pilnowałem gdzie zostanie połówka wyrzucona i na odwrót. Praktyka ta nie mogła trwać długo, bo przekupki się informowały. Przy kolejnej transakcji kobieta rozwinęła banknot a tu tylko połówka. W takiej sytuacji pozostała nam tylko szybka ucieczka. Pałętając się po mieście zauważyliśmy, że wojsko wozi śledzie w samochodzie ciężarowym. Jeden z nas czepiał się samochodu na zakręcie i zrzucał śledzie, a drugi zbierał. Ta sztuczka o mało nie zakończyła się tragicznie dla mnie: żołnierz zauważył, że kradniemy śledzie i zaczął nas gonić, brat skręcił w boczną uliczkę, a ja dalej uciekałem przed siebie. Z boku był opuszczony dom, po schodach wbiegłem na piętro i myślałem, że zgubiłem tego żołnierza, a tymczasem on był tuż za mną, wskoczyłem w otwór okienny i bez namysłu wyskoczyłem do ogrodu. Skutki skoku mogły być opłakane, bo nie umiałem się podnieść. Żołnierz zrezygnował z dalszego pościgu. Ja powoli się pozbierałem i dalej w nogi.

Nie pamiętam kto nas zaprosił czy zafundował kino. Ponieważ weszliśmy w trakcie projekcji, to zajęliśmy miejsca na przodzie, bo tylko tam były wolne. W czasie filmu zachciało mi się sikać, w normalnych warunkach załatwienie takiej potrzeby to nie problem, ale dla dziecka będącego w kinie po raz pierwszy to był problem. Brat bardzo szybko zareagował: sikaj na podłogę. Tak zrobiłem, a jak zaświeciły się światła zobaczyłem, że stróżka pociekła aż do ekranu. Szybko skierowaliśmy się do wyjścia, żeby nie kazali nam sprzątać.

Czas czekania na transport dłużył się wszystkim tylko nie nam. Wojsko jechało do lasu po drzewo, nie pamiętam okoliczności, ale zabrali nas ze sobą. Jazda po wybojach leśnych na pace samochodu na stojąco to przyjemność marnej klasy. W lesie zamiast drzewa przywitały nas serie z broni. Żołnierze nie zamierzali już brać drzewa. Otworzyli ogień na oślep i odjechali z powrotem do miasta. Nasza wyprawa to nowe doświadczenie życiowe.

Na początku czerwca podstawiono wagony. Całość transportu to węglarki, ale dla księdza podstawiono wagon kryty. Ludzie zabrali się do załadunku swoich

„dóbr”. Nas interesowała inna sprawa – obok rampy był skład rozbitych samolotów niemieckich, myszkowanie po złomowisku to było zajęcie nader ciekawe, ale wnet nas przepędzono.

Ładunek transportu trwał długo, bo oprócz dobytku wywiezionego z domów trzeba było ulokować bydło a to zadanie było trudne nawet dla rolników, którzy mieli doświadczenie z bydłem. Do węglarek prowadzono bydło a na lory ładowano sprzęt gospodarski jak wozy, siano dla bydła, zapas wody i zboża.

Część ludności ulokowała się w wagonach z bydłem, a przed deszczem chronił ich daszek dorobiony z desek, w środku najczęściej ustawiano piecyk do gotowania. W jednym wagonie lokowano po kilka rodzin wraz z dobytkiem. Po załadowaniu zaczęło się sprawdzanie czy wszyscy mają karty repatriacyjne. Komisja chodziła od wagonu do wagonu i sprawdzała, czy nie przemycą się osób postronnych, czy bydło dobrze poupinane itp. Do naszego wagonu załadowano cały sprzęt kościelny, dwie szafy ze sprzętem liturgicznym, dwie trumny – sarkofagi z fundatorami kościołów (jedna oszklona ze św. Wiktorem i druga zamknięta w metalowej obudowie). Piszę o tym tak

dokładnie, bo nasze lokum było obok, a wszelkie potrzeby fizjologiczne można było załatwiać chowając się za tymi sprzętami. Sikanie odbywało się przez niedomknięte drzwi albo przez okienko stojąc na trumnach.

Po oficjalnych ceremoniach podłączono lokomotywy i transport ruszył. Nie obyło się bez wypadków, bo każde zatrzymanie i ruszanie to szarpanie, które rujnowało ułożony sprzęt, zamocowane zadaszenia, zgromadzone zapasy przesuwwały się w zależności od siły szarpnięcia, zapasy wody rozlewały się po wagonie. Każdy postój to poszukiwanie wody pitnej, a odejście dalsze groziło odłączeniem się od transportu. My też przeżyliśmy nieprzyjemny incydent. Poszliśmy po wodę, już napelniliśmy zbiorniki, a tu gwizd lokomotywy – sygnał, że transport odjeżdża. Biegniemy za pociągiem, a on ciągle przyspiesza, brat wylał wodę i zaczepił się ręką za zderzak, udało mu się podnieść i stanąć na stopniach budki konduktorskiej. Ja zrobiłem to samo, ale ponieważ nie mogłem przytrzymać się jedną ręką, bo w drugiej miałem dzbanek, to położyłem się na zderzaku i tak jechałem. Każde łączenie szyn odczuwaliśmy we wnętrznościach. Sytuacja

stawiała się coraz trudniejsza, wówczas brat zdecydował żebyśmy wyrzucili dzbanki, zbliżył się do mnie i pomógł mi wstać i tak jechaliśmy do następnego postoju. Ludzie widzieli, że biegliśmy za pociągami, ale że jedziemy nikt nie wiedział. Okazało się, że nie tylko my mieliśmy trudności. Wszelkie ustalenia z maszynistami o wolne ruszanie lub hamowanie nie dawały efektu, maszyniści się zmieniali i nie przekazywali sobie naszych próśb.

Dziś nie pamiętam ile dni jechaliśmy. Wiem tylko, że były trudności z gotowaniem posiłków, brakiem wody dla ludzi i bydła.

Po pewnym czasie zatrzymaliśmy się na jakiejś stacji i staliśmy tam dość długo. Dniami i nocami ludność czuwała, bo nasiliły się kradzieże. Również i nam przydarzyła się taka sprawa – zaginęła nasza teczka z dokumentami i pamiątkami rodzinnymi. Nie mieliśmy już nic.

Ludzie wyprowadzali bydło na pobliskie łąki i je wypasali. Czekaliśmy na nowy transport. Dziś wiem, że to była stacja Katowice Ligota. Stamtąd już krytymi wagonami jechaliśmy dalej w nieznane, bo nikt nas nie informował dokąd jedziemy.

Wreszcie transport dojechał do Głubczyc, gdzie musieliśmy się wyładować na bocznicy. Tam żyliśmy pod gołym niebem około dwa tygodnie. Rolnicy z transportu zaczęli rozglądać się za gospodarstwami. Liczną grupę skierowano do Dziećmarowa, Baborowa i do sąsiednich miejscowości jako sublokatorów Niemców (do czasu ich wysiedlenia). Ksiądz z dobytkiem kościelnym został przewieziony do klasztoru ojców Franciszkanów w Głubczycach. My, jako iż byliśmy na jednej karcie repatriacyjnej, również zamieszkaliśmy w klasztorze. Wydzielono nam pomieszczenie kuchenne do zamieszkania, ponieważ pozostałe pomieszczenia były zajęte przez niemieckich zakonników. Kilku braciszków umiało parę słów po śląsku, najczęściej słyszało się „pódź sam tu”.

Sytuacja nasza była trudna, żywności było mało. Niemcy również jej nie posiadali, a może udawali, że nie posiadają. Nasz przywieziony dobytek złożony został na korytarzach, bo nie było innego wolnego miejsca. A trzeba było o niego zadbać po tej długiej podróży, więc jednym z zadań wyznaczonych dla mnie i dla brata było suszenie ornatów. A suszyć trzeba je było nosząc rozpostarte na rękach w cieniu w przeciągu,

żeby nie płowiały i żeby oddychały. Ornaty były ciężkie, według informacji naszego księdza ważyły około ośmiu kilogramów. Tkane były srebrnymi i złotymi nićmi, niektóre miały pochodzenie starodawne – tkane były przez tkaczy na zlecenie królowej Jadwigi. Kiedyś stanowiły bogactwo zamkowe, następnie zostały przekazane parafii. Tyle informacji udzielił nam ksiądz Witkowski.

W kaplicy klasztornej odprawiane były msze święte przez księży niemieckich oraz przez naszego księdza, a my musieliśmy służyć do mszy, naturalnie wcześniej musieliśmy się nauczyć ministrantury. Kościół klasztorny był nieczynny. Piwnice zalane były wodą z popękanych rur. Centralne ogrzewanie nie działało. Przy klasztorze był ogród i sad. Owoce z tego sadu były przyczyną częstych scysji między braciszkami a nami. Mój brat traktował owoce jako zdobycz wojenną, co stało w sprzeczności z mniemaniem braciszków. Wówczas brat, naturalnie po polsku, wypominał, że przez ich plany zaborcze my musimy tułać się sami po świecie, a ci jeszcze żałują nam owoców. „Wojna” my – braciszkanie trwała do czasu ich zlagrowania na terenach przyległych do miasta. Nas

również zlagrowano w obiektach za ogrodzeniem. Ksiądz wyraźnie się temu sprzeciwił i oświadczył, że za naruszenie naszych dóbr pociągnie ich – nową władzę, kimkolwiek by oni nie byli – do odpowiedzialności, bo ma „znajomości na górze”. Widocznie to podziało, bo nas niezwłocznie uwolnili i cały klasztor nie został splądrowany. Również nie został zabrany chory Niemiec, sparaliżowany, którym się opiekowali braciszkwowie.

Obiekt pozostał w naszym władaniu. Zaraz pierwszej nocy przeżyliśmy szok. Jak wspomniałem, zajmowaliśmy pomieszczenie kuchenne, od kuchni oddzielały nas parawany. Nasza gospodyni powiedziała, żeby na noc parawany przesunąć na okna, bo nie było w nich zasłon. W nocy ktoś zaczął pukać do okien i świecić lampkami. Gospodyni zbudziła nas, bo zauważyła mundury niemieckie. Również i my to zobaczyliśmy. Widocznie braciszkwowie utrzymywali łączność z pozostałością wehrmachtu. Obok klasztoru były mały cmentarz i prawdopodobnie w grobowcach siedzieli niemieccy żołnierze. Ksiądz, który miał sypialnię na piętrze, nic nie słyszał i nawet nie chciał nam uwierzyć. Na następną noc wszystkie okna i drzwi

mocno pozamykaliśmy, a ze spaniem przenieśliśmy się na piętro.

Po paru latach dowiedziałem się, że w Głubczycach rzeczywiście ukrywali się Niemcy – między innymi przy klasztorze. A później utrzymywał ich, ale już na parafialnym cmentarzu, grabarz autochton. Woził im jedzenie na wózku – u góry obornik, a pod spodem pojemniki z żywnością.

Po „wypróżnieniu” pomieszczeń z mieszkańców – Niemców i autochtonów – w mieście zrobiło się pusto. Wszystkie mieszkania były poplombowane i pozamykane. Brat był dobrym organizatorem i po znalezieniu pęku kluczy zaczął dobierać się do pozamykanych drzwi. Plombę przecinało się żyłką z boku co po zamknięciu drzwi robiło wrażenie, że plomba nie została naruszona.

A my myszkowaliśmy po pomieszczeniach szukając żywności, której niestety nie było, lub innych ciekawych rzeczy. Brat znalazł plecak i tam lokował zdobyte dobra (między innymi spodenki skórzane takie jakie nosili młodzi Niemcy).

Jedno mieszkanie nie było „wypróżnione” i ku naszemu zdziwieniu znajdująca się tam starsza pani

mówiła po polsku. Mąż jej był chory i leżał w łóżku, wcześniej był profesorem w szkole. Za jego przyzwoleniem buszowaliśmy po całym domu i strychu. Tam były encyklopedie, klasery ze znaczkami, ale to nas nie interesowało. Na strychu w kufrze znaleźliśmy gruby modlitewnik w języku polskim, bardzo stare wydanie, zanieśliśmy go tej starszej pani. Do tego domu ciągle zaglądaliśmy, byliśmy ciekawi, bo ona była Polką, a on Czechem – chcieliśmy się dowiedzieć czegoś o tym mieście i o autochtonach. Drugim poznanym nieco później Polakiem – autochtonem był, o ile dobrze pamiętam, Zazulka. Chłopak był w moim wieku i przychodził służyć do mszy. Rodzina jego mieszkała na ulicy Kopernika. Dom mieli spalony, ojciec z dwiema córkami codziennie jeździł do lasu i transportował drzewo.

Na tej ulicy Kopernika ksiądz ulokował u rolnika swoją krowę za mleko i przychówek. Piszę o tym, bo z tym domem było związane moje dalsze życie. Codziennie chodziłem tam po mleko, dzięki temu można było czasem zapomnieć, że jest się głodnym. Magazyny klasztorne nie zostały na początku dobrze przez nas rozpoznane. W jadalni była szafa pełna

naczyń, no i kompotów. Kompoty nie nadawały się do picia, bo były bez cukru, wybieraliśmy tylko owoce. Ziemniaków i syropu z buraków mieliśmy dosyć. Czasem ksiądz przynosił szklankę mąki i mówił, żeby gospoia ugotowała pierogi. Sam, zaraz na początku pobytu, nawiązał kontakt z masarzem, który podjął już produkcję wędlin. Naszym zadaniem było co dzień rano po mszy iść do rzeźnika po „mieszanke”: 10 deka wyrobów różnych tj. szynki, salcesonu, pasztetówki i do tego dwie bułki.

Ponieważ nie mieliśmy pieniędzy dla siebie, to trzeba było coś wymyśleć. Jeden z rolników był u księdza i w międzyczasie podpytywał czy czasem nie mamy pierzyny, bo jego całkiem okradli. A my mieliśmy do dyspozycji i klasztor i sąsiednie domy. Brat kazał mu podjechać pod okna i naładował mu cały wóz pościelą. Naturalnie ksiądz o tym nie wiedział. Rolnik w zamian dał nam 500 złotych. Następnego dnia brat zrobił zakupy: dwa razy po 10 deka „mieszanek”. Sprawa wydała się, gdy rzeźnik zapytał, czy doszedł drugi ksiądz, bo chłopcy biorą po dwie porcje. Trzeba się było wytłumaczyć z posiadanych pieniędzy.

Z żywnością pamiętam i inne incydenty. Raz

znaleźliśmy w kominie suchą kiełbasę, trzy lub cztery pętelki. Jednak jak ją zjeść, skoro krążyły opowieści, że żywność jest zatruta. Brat uciął więc kawałeczek i dał kotu. Nim kot zdążył zjeść, myśmy wpałaszowali pozostałą część. Gdyby była zatruta, to byłoby po nas. Innym razem znaleźliśmy na strychu w klasztorze budyn waniliowy i od tego czasu do wszystkich dań gotowany był budyń. Gospodyni wychodziła z założenia, że jeść trzeba co tylko się ma, a mleko było i budyń był. Do dziś nie jem budyniu. W mieście po opuszczonych domach i w zakamarkach grasowali szabrownicy. Ze Śląska przyjeżdżały samochody na holsgas (parę wodną) i ładowano na nie urządzenia i kotły do centralnego ogrzewania, które zgromadzone były na obiektach cegielni przy ulicy Kopernika. Naszym zadaniem było zebranie grupy od czterech do sześciu osób w celu szybkiego załadowania samochodów. Za to zadanie otrzymywaliśmy dwie bułki z kiełbasą i 1/8 wódki. Jednym z zaufanych robotników był syn właściciela gospodarstwa, który często wychodził z nami „na łowy”. Był od nas starszy, miał osiemnaście lat i doświadczenie z życia wojennego, bo z matką musieli utrzymywać całą rodzinę w Poznańskim przez okres

wojny. O tym, że ojciec żyje, dowiedzieli się po wojnie i dołączyli wtedy do niego. Nasz „przewodnik” miał też większe rozeznanie „ekonomiczne”. Zaczął z nami myszkować w klasztorze, odkryliśmy, że za jadalnią znajduje się magazyn. Drzwi od środka jadalni zasłonięte były szafą z naczyniami, która stanowiła nie lada przeszkodę dla nas. Zbicie okna nie wchodziło w rachubę z uwagi na księdza i już polskich braciszków. Zachodząc do piwnicy zauważyliśmy okienko, po bliższym zlustrowaniu stwierdziliśmy, że to jest okienko magazynu. Wejście przez to okienko nie stanowiło problemu, ale nie obyło się bez skaleczeń.

Dalsze poszukiwania, poza kompotem i niektórymi produktami żywnościowymi, nie stanowiło rewelacji. Wartościowe okazało się parę kilogramów pieprzu, które zostało zaraz „upłynnione” przez naszego „przewodnika”.

Dni leciały bez względu na warunki życia. Zabawy nam nie brakowało. Przy klasztorze było muzeum, częściowo otwarte przez „zwiedzających” od strony ogrodu. My również korzystaliśmy np. z bicykla – duże koło z pedałami i siodełkiem, bawiliśmy się łukami, kuszami, ale też samopałami. Nie wspominam o szkole, ale

i to zajęcie trzeba było wkomponować w rozkład dnia. Zostałem zapisany do czwartej klasy od września 1945 r. O zeszytach mowy nie było, książki mieli tylko nauczyciele, którzy przyjechali jako repatrianci.

Miasto było wypalone, całe centrum z ratuszem włącznie. Na ulicy Zielonej był tylko jeden niespalony dom. W piwnicy można było znaleźć trupy. Wieczorami słychać było strzały, bo broń mieli wszyscy.

Jeńcy wojenni pod nadzorem wyburzali ruiny wypalonych domów. Pamiętam mężczyznę, który miał tylko jedną rękę a w niej tylko dwa palce. Nadzorował pracę ludzi, którzy wyciągniętą drabiną strażacką strącali wiązający sprzęt gospodarstw domowych z wannami włącznie. Następnie jeden wchodził po tej drabinie, zaczepiał liny i wyburzali szczyty ścian. Raz byłem świadkiem, jak drabina zaczepiła o przewody elektryczne i wszystkich poraził prąd elektryczny, ale przeżyli.

W klasztorze po sprowadzeniu nowych, polskich braciszków zaczęto sprzątanie. Całymi dniami pompowano wodę z piwnic pod kościołem. Następnie naprawiono rury od wodociągu i pieca centralnego ogrzewania. Pod wodą był koks, który posłużył do ogrzewania próbnego. Kościół był zniszczony, szczególnie ściany. Jeden

z braciszków tzw. złota rączka pobudował rusztowania i rozpoczął malowanie. My, mając dużo wolnego czasu, pomagaliśmy mu w niektórych pracach. Za pomoc pozwalał nam, a raczej bratu, pograć na organach.

Czasami zapraszał nas do swojej kwatery, gdzie miał zamontowane w stolik radio, można było posłuchać muzyki. Raz pokazał nam swoją zdobycz – pistolet w zamszowym futerale tak mały, że można go w dłoni schować. Dla nas był to szczyt marzeń, bo dużą broń można było zdobyć, jednak na taką „szóstkę” trudno było trafić. Braciszek ten niedługo zabawił w klasztorze, wyjechał z polecenia zakonu.

Jak wspomniałem, po wysiedleniu braciszków – Niemców w klasztorze pozostał obłożnie chory Niemiec. Jak zmarł, to okazało się, że pod głową miał pistolet i srebrny krzyż zasługi. Dziś nie pamiętam kto wziął pistolet, krzyż wziął brat, ale co z nim zrobił to nie wiem.

Do świąt Bożego Narodzenia mieszkaliśmy w klasztorze. Tuż przed świętami ksiądz polecił bratu pieczenie opłatków w piecu kaflowym, do którego włożyć formę z ciastem opłatkowym jakoś się udawało, ale wyjąć było karkołomnie. Brat zdenerwował się, rzucił formą po korytarzu klasztoru i stwierdził,

że wyjeżdża. Do plecaka włożył cały swój dobytek i puchową pierzynę, którą zabraliśmy z domu (pierzyna ta kursowała z nim cały czas). Wyjechał z myślą, że zacznie pracować.

W międzyczasie dowiedzieliśmy się, że stryjek został zwolniony z wojska (brał udział w wojnie w II armii). Spotkaliśmy się z nim w Głubczycach, bo on też nas szukał. Stryjek z zawodu był rzeźnikiem i rozglądał się za jakimś warsztatem rzeźniczym, żeby dalej robić to co umie. Szukał nas, szukał kandydatki na żonę, szukał miejsca dla siebie, bo wszystko zostawił tam, gdzie już nie było Polski. Zatrzymał się w Samborowiczkach, a później ożenił się w Kuropatniku i zamieszkał z teściami. Jakiś czas brat mieszkał u niego w Samborowiczkach i dojeżdżał do pracy w rzeźni w Przewornie. Kiedyś zimą upadł i uszkodził nogę w kolanie. Sprawa wyglądała poważnie, istniało zagrożenie, że brat nie będzie mógł zginać tej nogi. Siostra zakonna – Niemka – pomagała w leczeniu, bo rana nie chciała się goić. Może to, a może tak miało być, że po wyleczeniu zrezygnował z pracy u stryjka i poszedł do szkoły. Zamieszkał w domu dziecka w pobliżu Raciborza (w Kietrze)

i tam skończył technikum. Czasem widywaliśmy się u stryja na święta, ale bliższych kontaktów nie było, każdy poszedł swoją drogą.

Moje losy potoczyły się nieco odmiennie, do sierocińca nie chciałem iść, zresztą nikt nie proponował. U księdza nie mogłem dłużej być, bo nie było warunków. Ksiądz przeszedł na mieszkanie przy kościele parafialnym. Całe mienie zostało przewiezione w nowe miejsce. Samej przeprowadzki nie pamiętam. Wiem tylko, że jedną część pokoju zajmowały księgi parafialne. Ludzie przyjeżdżali po wypisy z metryk i dzięki ułożeniu latami można było szybko korzystać z zapisów. Żałuję tylko jednego, że nie zadałem sobie trudu, żeby wymóc na księdzu dane o naszej rodzinie. Dokumenty parafialne w latach późniejszych zostały zabrane do archiwum w Warszawie i ślad się urwał. Czasem ksiądz zapraszał do siebie, czasem poczęstował darami z UNRY, a otrzymywał paczki I kategorii, gdzie były kakao i czekolady.

Później dokooptowano do domu parafialnego drugiego księdza – Adamiaka, późniejszego biskupa w Opolu. Często chodziłem do kościoła parafialnego, gdzie w nawie bocznej umieszczono obraz Matki Boskiej

przywieziony z Mariampola. Kościół ten robił duże wrażenie, szczególnie na mszach dla uczniów i wojska (do 1949r.), kiedy orkiestra wojskowa i organy zagrały na zakończenie mszy, to włosy stawały dęba. Orkiestra i muzyka były dla mnie jak balsam na rany. Zaraz po wojnie odbyła się w tym kościele misja święta, zgromadziło się parę tysięcy wiernych z całych okolic. Miasto było zakorkowane furmankami. Jak jestem w Głubczycach, to odwiedzam ten kościół, ale nie ma już organisty koncertmistrza ze Lwowa, który tak wspaniale grał. Nie ma tych ludzi. Nie ma miasta, tamtego miasta. Nie ma kościoła luterańskiego z wysoką wieżą, skąd oglądało się panoramę miasta. Jak wspomniałem życie moje związało się z ulicą Kopernika, mieszkałem pod numerem piątym. Do stołu siadało dwanaście osób: gospodarz i jego żona, piątka dzieci od dwudziestu dwu do ośmiu lat, her Czech od koni, „frojlajn” gospodyni czeska i dwóch pracowników polowych i ja. Niemki właścicielki gospodarstwa już nie było. Nie wróciła z Czech, gdzie w czasie frontu całe miasto zostało ewakuowane. Jeszcze jednym domownikiem był pies – bernardyn wielkości cielaka, na którym można było jeździć.

Zamieszkałem w pokoiku przejściowym, gdzie mieściło się łóżko i szafa. Okienko wychodziło na ślepy mur, a podłoga była z cegły. Kiedyś tam mieszkali robotnicy rolni. Właściciele korzystali z dwóch pokoi. Z budynku było przejście do stajni i obory. Typowa zabudowa gospodarcza, jednak stodoły nie było, bo została spalona przez Sowietów. Jak opowiadał gospodarz: Ruski zażądał jajek, a ich nie było, bo i kur nie było; serią z pepeszy z bliskiej odległości zapalił słomę, spłonęła stodoła, szopa z maszynami, uratowano jedynie oborę z domem. Gospodarz żałował bardzo wiązałki, najnowszy typ na gumowych kołach, którą ciągnęły tylko dwa konie. Niemka otrzymała tę maszynę jako rekompensatę za śmierć męża i czterech synów na wojnie. A wracając do zabudowy, to naprzeciwko domu była jeszcze wiata na maszyny i pomieszczenie na buhaja, dalej kurnik i dobudowany piec chlebowy. Od ulicy nad wysoką bramą była zabudowa wjazdu i furty wejściowej. Gospodarstwo było teraz prowadzone przez byłego robotnika przymusowego pana Franciszka Trzybińskiego, który przepracował tam cały okres wojny. Gospodarstwo funkcjonowało w ściśle określonym porządku.

Pierwsza czynność to futrowanie (furaż) koni – wykonywał to Czech. Ale nie były to dawne konie gospodarskie, tylko wojenne, jeden spod siodła a drugi dychawiczny, ale były, a to po wojnie był skarb. Konie gospodarskie (niemieckie) skonfiskowali Sowieci. Dzięki znajomości języka rosyjskiego gospodarz nie został całkowicie obrabowany.

Drugą czynnością było czyszczenie bydła, karmienie i dojenie. Te czynności wykonywały dwie robotnice Czeszki, które polskiego nie rozumiały. Dla mnie to był problem, bo niemieckiego niewiele znałem i jak coś chciałem, a nie było domowników, czyli członków rodziny gospodarza, to nie mogłem się dogadać. Gospodarz i cała jego rodzina, jak wspomniałem, była rodem z Poznańskiego i język niemiecki nie był im obcy. Ja musiałem szybko nauczyć się podstawowych słów, a często mój rówieśnik, gdy pytałem, jak to się mówi, to wprowadzał mnie w błąd i wychodziły parodie.

Ludzie powoli rozjeżdżali się do swoich dawnych stron. Gospodarza nie stać było z posiadanych naprzód 11 ha, a później nadanych 7 ha (reforma rolna), utrzymać taką liczną załogę. Ja zostałem jako opiekun księżej

krowy, a w rzeczywistości jeszcze jeden członek tej wielkiej rodziny. Byłem zarejestrowany w opiece społecznej jako sierota, ale wielkiej pomocy nie otrzymywałem. Czasem jakiś ciuch, bo z tym było bardzo źle, czasem wojskowe kamasze. Raz tylko otrzymałem porządne buty z firmy Bata. Chodziłem w nich tak długo, że aż palce mi się wykrzywiły, ale buty były mocne i nadawały się w zimie do łyżew.

Zimy bywały śnieżne i mroźne. Zajęciem poza szkołą było czepianie się samochodów wojskowych i jazda na łyżwach. Cała trudność polegała na omijaniu kanałów, na których można było się potknąć. Skutki takiego potknięcia były bolesne.

W lecie mieliśmy więcej zajęć, bo w gospodarstwie ich nie brakuje. Na przykład do obowiązków dzieci należało dogłądanie hodowli królików. Całe pomieszczenie po buhaju było wypełnione klatkami. Na daszku koło pieca piekarskiego było dużo gołębników, no i naturalnie „klapa” do zamykania obcych gołębi. Ze Śląska przyjeżdżali kupcy na dorodne osobniki, które po jakimś czasie wracały.

Szosa obok domu co dnia pędzone było bydło pod konwojem Sowietów. Czasem proponowali

sprzedaż wychudzonych i słabych sztuk za bimber, ale potem komendatura odbierała te sprzedane sztuki. Szabrownictwo szalało co noc, ludzie musieli się bronić, a pomocne były psy. Pamiętam, że przyszli do nas chętni, żeby zamienić konia za psa, tego olbrzymiego bernardyna, który pilnował całej ulicy. Jednego razu nawet go postrzelili, ale to go nie przestraszyło i dalej pilnował dobytku.

Zimą dni były krótkie i życie toczyło się bardziej w pomieszczeniach ogrzewanych czyli w kuchni i w pralni. W kuchni w przemyślny sposób ukryte było radio. Za kredensem w murze była wykuta wnęka, w której znajdowało się radio nastawione na odpowiednie fale i wystarczyło tylko podłączyć prąd i zaczynało grać a raczej gadać. Najczęściej zaczynało się: bum, bum, bum tu mówi Londyn. Gospodarz miał zwyczaj siedzieć przy stole całe noce i słuchać radia w czasie wojny, i tak mu zostało. W pralni więcej przesiadywali pracownicy i obsługa.

Jak pogoda ustabilizowała się, to rozpoczynano młóckę po gospodarzach, gdzie było zgromadzone zboże. Do obsługi młocki potrzeba było, poza maszynami, również ludzi. Przesiedleńcy nie znali tej techniki

młócenia. Instruktorami byli robotnicy rolni, ci którzy zostali na gospodarstwach, w których pracowali w czasie wojny. Nowością były maszyny elektryczne. Ja często chodziłem z gospodarzem ustawiać maszyny, a on systematycznie mnie szkolił co jak podłączyć, co jak pracuje, jak ma obracać się wentylator, młocarń, które pasy gdzie, a które powinny się krzyżować. Nauczył mnie wszystkich czynności przydatnych w obsłudze maszyn rolniczych, układania snopków na wozie bez potrzeby wiązania itp.

W przyszłości te czynności przydawały się, bo rolnicy nieraz korzystali z moich wiadomości lub pomocy w prawidłowym ustawieniu i obsłudze maszyn. Przed rozpoczęciem młocki najczęściej sprawdzałem wypoziomowanie maszyny, zamocowanie silnika, ułożenie pasów, podłączenie sznurka do prasy i wówczas rozpoczynano młóckę.

W czasie żniw z gospodarzem przez dwa tygodnie kosiłem zboże siedząc na snopowiązałce i ustawiając skrzydła podbieracza według pochylenia lub wyłożenia zboża, naturalnie pod dyktando szefa, który prowadził konie.

Przy przerwie obiadowej moim zadaniem było smarowanie kalamitek i nałożenie smaru do poszczególnych

elementów pracujących w obciążeniu. Po tych czynnościach jechałem na obiad. Do obiadu zasiadali wszyscy domownicy. Przerwa zaczynała się o dwunastej i trwała do czternastej, następnie wszyscy udawali się do swoich zajęć. Ustalony porządek obowiązywał i nie można go było lekceważyć. Wszyscy mieli obowiązek ustalony – uczniowie do szkoły, pracownicy do wyznaczonych zajęć.

W gospodarstwie oprócz naszego była jeszcze krowa nowej nauczycielki, która przyjechała do pracy i zamieszkała w mieście. Naszym obowiązkiem było odniesienie mleka do szkoły, o ile nie przychodziła nauczycielka na lekcje do syna gospodarza. W gospodarstwie była duża ilość kur, sięgała setki, a jajek było tyle, że trudno było zliczyć. Część kur niosła się w gołębnikach i jajka te stanowiły naszą zdobycz. Syn gospodarza najczęściej wymieniał je w sklepiku na cukierki lub papierosy, ja najczęściej swoją zdobycz wypijałem. Nie znaczy, że stroniłem od palenia papierosów, ale uważałem, że handel wymienny to żaden interes. Nie mogłem zgodzić się z tym, że mój kolega mimo, że był młodszy, miał już wyrobioną smykałkę do pozyskiwania cudzych rzeczy i to nie dlatego, że

były mu potrzebne, ale tak sobie, dla czyjejsz szkody. Do szkoły, owszem chodził, ale się nie uczył. Rodzice najęli dla niego nauczycielkę, o której już wspomniałem, a która samodzielnie utrzymywała trójkę dzieci (ich ojciec zginął w Katyniu). Często było tak, że w czasie prowadzenia lekcji pani ze zmęczenia zasy-piała, a Zygmunt wykorzystywał jej osłabienie i wy-mykał się z pokoju, bawił się z nami, a później wracał, żeby była godzina zaliczona. Rodzice musieli płacić za puste lekcje.

W tym okresie dzieci musiały chodzić do kościoła, no i naturalnie do spowiedzi. Pamiętam, jak raz wychodząc z kościoła zapytałem Zygmunta, czy był u spowie-dzi, odrzekł że tak, a za moment pokazuje mi zdobyte gołębie, które włożył pod połę marynarki. Nieraz rozmawiałem z nim o tym jego „charakterku”, ale natura jego była silniejsza od nakazów i próśb rodziców.

Warunki w jakich przychodziło nam się uczyć, były bardzo trudne. Braki z takiej nauki, bez własnych podręcz-ników, na szybko zapisywane regułki, były widoczne dopiero później. Ratowała mnie tylko pamięć i zainte-resowanie przedmiotami ścisłymi, szczególnie fizyką i chemią. Często nauczyciele zachęcali nas do nauki

tłumacząc, że to na nas będzie spoczywał los kraju, ale w tamtym czasie to nie trafiało do naszej świadomości. Uczniowie chodzący ze mną do szkoły to różne roczniki. Część młodzieży wróciła z wywózki z Kazachstanu, Sybiru. Niektórzy w ogóle do szkoły nie chodzili, a z racji wieku robili dwie klasy naraz. Z tymi już doświadczo-
nymi przez życie było najtrudniej. Ich wiedza była za-
sobniejsza w doświadczenia życiowe i tym imponowa-
li. Z nauką różnie u nich było. Obowiązywała jednak
dyscyplina i przymus fizyczny. Razy się brało na łapę
lub po plecach a zdarzało się i w twarz. Pamiętam,
zimą spóźniłem się na lekcje, nie z racji lenistwa, tyl-
ko śnieg był duży i trudno się szło. Wszystkich spóź-
niałskich dyrektor przywitał na wejściu, ja oberwałem
w ucho, dzwoniło mi dwa dni. Za to zdarzenie miałem
żal i jak go później zamknęli, już nie pamiętam za co,
to nawet się cieszyłem.

Codziennie z rana każdy uczeń musiał wypić łyżkę
tranu. Można było solić lub z chlebem, jak kto wo-
łał, ale odstępstwa nie było. Mnie to nie sprawiało
trudności, gorzej jak były szczepienia, to zawsze się
ulotniłem. Raz to szkołę zamknięto, żeby uczniowie
nie puciekali, ja jednak zdążyłem uciec przez okno

i po rynnę, a ponieważ nie byłem atletą to rynna wytrzymała. Któregoś roku wiosną – marzec albo kwiecień – byłem z innymi dziećmi z Opolszczyzny w prewentorium. Szkoła nas skierowała, bo byliśmy niedożywieni. Tam były normalne lekcje, gimnastyka, posiłki, znaleźliśmy tam stare mapy sztabowe, pływaliśmy na krach (o mało się nie utopiłem). Mieliśmy też przygodę ze Ślązakami. Nie pamiętam czemu, ale napadli na nas, wybili okno, pobili jednego chłopaka, ale nam udało się ich okrążyć, a ponieważ wychowawczynie nie mogła się dodzwonić na milicję, to zamknęliśmy ich w sali. Potem przyszli rodzice po swoich „synków”. Nazwiska zostały spisane, mieli naprawić stłuczoną szybę i już zgoda.

Trzy lata mieszkałem na ulicy Kopernika, później musiałem się przenieść. Dziś nie pamiętam czemu. Wiem, że gospodyni chorowała na nogi i nie mogła chodzić (gruźlica kości). Ciągłe tylko aspiryny brała i o lasce chodziła. Z własnymi dziećmi nie mogła dać rady. Najstarsza córka wyprowadziła się z domu. Syn osiemnastoletni chodził do gimnazjum. Druga córka w moim wieku w tym czasie chodziła do szkoły i nie było żadnych trudności, jak również z najmłodszą,

która później poszła do zakonu. Najgorzej było z drugim synem, który coraz częściej nie interesował się nauką. W tych warunkach, mimo iż na siebie często pracowałem, byłem zbyteczny. Z opieki społecznej znaleźli mi miejsce przy rodzinie bezdzietnej w mieście, jednak tam źle się czułem i zrezygnowałem. Wówczas pan Maciołek z opieki społecznej proponował mi miejsce u swego szwagra Zaworskiego. Szwagier był kowalem i prowadził warsztat kowalski po drugiej stronie miasta. Żona prowadziła dom i gospodarstwo, trzymała dwie krowy, a mleko sprzedawała sąsiadom i znajomym w mieście. Dzieci mieli dorosłe. Jedna córka już była zamężna, druga pracowała w „Merkurze”. Do moich obowiązków należało doglądanie inwentarza tj. pasienie krów latem, wywóz obornika i dowóz paszy i ściółki. W południe musiałem zanieść obiad do kuźni i mleko do apteki.

Kuźnia stanowiła nowe doświadczenie, widziałem jak poskramiano konie z UNRY, żeby je podkuć. Jeden z uczni, bardzo silny chłopak, poskromił agresywnego konia po prostu podnosząc go na plecach. Po tym eksperymencie koń stał się potulny i został okuty na wszystkie nogi. Czterech ludzi pracowało codziennie kując

konie i okuwając nowe wozy lub stare. Ludzie przyjeżdżali z własny materiałem, nierzadko używanym w wojskowości. Z wojskowych obręczy nic nie można było zrobić, bo to był materiał twardy i niespawalny w palenisku. Aparatów spawalniczych nie było, a łączenie obręczy odbywało się poprzez nagrzanie do czerwoności i wówczas dwa końce łączyło się poprzez kucie na dwa młoty lub trzy w zależności od dostępu do kowadła i obrabianego materiału. Podobnie naciągało się zbyt krótkie obręcze. Po podgrzaniu rozklepywało się na całej przestrzeni. Jedynie do zmniejszania służyła maszyna, naturalnie ręczna, którą po rozgrzaniu ścisnęło się obręcz miejsce za miejscem. Technika ta była dziełem szeregu doświadczeń i praktyk. Uczeń musiał rozpoznać żelazo po dźwięku czy jest właściwe do obróbki cieplnej. Musiał umieć rozhartować i poklepać np. siekierę i odpowiednio zahartować, żeby nie była za twarda i nie sypała się. Nieraz słuchałem tych mądrości, które przyswajał uczeń do egzaminu. Do rozmowy była okazja, bo uczeń poza kuźnią musiał czasem pomagać w domu u majstra.

Pamiętam jak poszliśmy w trójkę kosić. Uczeń kosił dwa razy szerzej niż ja i majster. Chłopak był rośły

i silny, byłem pełny podziwu dla jego siły i sprytu. Ja też, jak na swój wiek i posturę, pracowałem według potrzeb. Jednego razu majster kupił cztery tony węgla i trzeba było to taczkami przewieźć poza budynek i wsypać do piwnicy w ciągu jednego popołudnia. Moim obowiązkiem były: przywózka słomy i siana, w lecie na działkę po zielonkę, wyrzucanie gnoju z obory i taczkami transport do gnojownika. Jednego razu zięć majstra wziął ode mnie naładowaną tawkę i tylko zdążył podnieść i od razu wywrócił, ja musiałem ponownie załadować i wywieźć. Rodzina Zaworskich mieszkała w budynku czterorodzinnym. Tylko jedno mieszkanie zajmowała obca rodzina. Pozostali byli ze sobą spowinowaceni. Z moim szefem majstrem kowalskim mieszkała żona i teściowa. Teściowa miała jakieś osiemdziesiąt lat, a sześćdziesiąt miała przepracowanych w fabryce papierosów pod Lwowem, dziennie robiła 3 mile tam i z powrotem. Zima, lato – pieszo odmierzała cały odcinek. Była bardzo drobna i na swój wiek sprawna. Wiecznie pracowała, a to drewno rąbała, w piecach paliła itp. Z żoną i córką niezamężną utrzymywałem potem kontakt telefoniczny lub osobisty (obecnie

już nie żyją). Na pierwszym piętrze mieszkała druga córka z mężem – muzykantom i dzieckiem. Po pracy wszyscy siadali do kart lub słuchania radia. Po drugiej stronie budynku mieszkał szwagier z rodziną, też muzykant. Prowadził gospodarstwo w podobnej formie, tylko z tą różnicą, że miał konia, którym zarabował. W lecie wieczorami często siadali na balkonie i muzykowali, w maju jeśli nie szli grać w kościele, to grali w domu, aż do czasu, gdy zakazano grać pieśni religijne (zabroniła partia w 1949 r.).

Naprzeciwko był dom Zawadzkiego, a za jego domem była droga do budynku zajmowanego przez ZMP. Na placu obok rosły orzechy włoskie, często na nie chodziłem, ale nie to jest ważne. Jednego razu młodzież pomalowała smołą czy czarną farbą szyld. Milicja długo myszkowała, aż wyszło, że to uczniowie z gimnazjum brali udział w beczeszczeniu ZMP i stało się: wielki szum, rozprawa sądowa i zasądzili od roku do półtora roku odsiadki. Uczniowie zamiast zdawania matury poszli siedzieć. Już jak ja chodziłem do gimnazjum, to oni wrócili z więzienia i kończyli szkołę. Przy wyjeździe na wykopki poznałem kilku. Dziś już nawet nazwisk nie pamiętam, ale wiem, że

godzinami opowiadali różne kawały. Nawet wykładowcy z podziwem słuchali.

A w gimnazjum mieliśmy świetnych przedwojennych wykładowców. Umieli zaszczerpić w nas chęć uczenia się. Wiedzieli, że my musimy zdobyć jak najwięcej wiadomości, żeby nimi zarażać innych.

Ja jak wielu innych kolegów nie mieliśmy czasu wolnego. Wszyscy mieli jakieś obowiązki. Pomijam synów i córki gospodarzy, którzy musieli pracować na gospodarstwach nieraz opuszczając lekcje, ale i mieszcuchy mieli zajęcia. Bo jeżeli ktoś miał własny dom, to był on zniszczony i trzeba było remontować. Podobnie było w mieszkaniach miejskich, gdzie brak opału zmuszał do penetrowania wypalonych ruin – może pod gruzami jeszcze się coś znajdzie. Dziś to się może wydawać dziwne, ale wówczas to był chleb powszedni. Miasto było wypalone w 70%, szczególnie centrum. Pracy płatnej było mało, a potrzeby duże, każdy był na dorobku i szukał zajęcia.

Zaraz po wojnie dzieci pomagały przy przewożeniu rzeczy skoszarowanych w klasztorze Niemców i autochtonów – tych, którzy musieli opuścić miasto i okolice, i zwolnić domy i mieszkania dla Polaków.

Przywożono ich ze stacji kolejowej, a po skompletowaniu całego transportu gnano z powrotem na stację. Najczęściej to byli starsi ludzie, inwalidzi, kobiety i dzieci. My, albo pomagaliśmy im ciągnąć ich własne wózki obciążone ponad ich siły, albo podstawialiśmy własne wózki ładując dobytek kilku rodzin i wówczas oni pomagali wieźć ten ładunek. Za tę czynność dawali nam marki niemieckie, które do pewnego czasu można było wymienić na złotówki.

Warunki, w jakich ich koszarowano, mogłem obserwować, bo obok były pastwiska, gdzie pasłem krowy. Ludzi było dużo i duża rotacja. Nikt nie zwracał uwagi na starszych i chorych. Załatwiać się musieli w wybudowanych latrynach, których miejsce ciągle przenoszono, a stare zasypywano by uniknąć zarazy. Wieczorem smród ciągnął się na całe miasto.

W ogrodach klasztoru, gdzie lagrowano Niemców był cmentarz żołnierzy radzieckich. W mogiłach leżało do pięćdziesięciu osób. Nazwiska i stopnie wojskowe wypisane były na tablicach. Cały sad był zryty grobowcami. Ten widok zwycięzców i pokonanych tu równał się.

Po pewnym czasie transporty ustały, tylko mogiły pozostały. Nie wiem, czy nadal tam są czy też je zlikwidowano.



Jednego roku miałem postarać się o choinkę na święta, a zima była wówczas sroga, do lasu iść i zimno i za daleko. Nic nie mówiąc gospodarzom przyniosłem dorodne drzewko z sadu obok mogiły. Drzewko stało do Wielkanocy nie gubiąc szpilek. Wówczas domyśli się skąd takie drzewko.

Po skończeniu siódmej klasy zrobiono nam zdjęcie w parku na niedźwiedziu. (Jestem czwarty z prawej strony.) Mam to zdjęcie do dziś, mimo iż wielu nazwisk już nie pamiętam.

W gimnazjum były inne warunki nauki, pracownie były wyposażone w niemiecki sprzęt, ale to nie przeszkadzało nam w prowadzeniu doświadczeń.

Dzięki znakomitej pamięci każde doświadczenie i wyprorowadzenie wzoru mogłem dokonać bez potrzeby uczenia się. Jednak regułek do wzoru nie opanowałem dostatecznie. Jak profesorka zapytała na pierwszej lekcji o kilka regułek, których nie umiałem, nastał sądny dzień. Na osiem godzin lekcyjnych otrzymałem siedem dwój tylko za regułki pamięciowe. Na opanowanie zaległości wyznaczono mi dwa tygodnie. Nie mogłem sobie darować, że po pierwszej lekcji nie poszedłem na wagary, bo wtedy by mnie to ominęło.

Trzeba było poświęcić parę nocy na opanowanie całego materiału, bo regułki były pretekstem do zmuszenia mnie do nauki. Naturalnie nikt mnie nie poganiał, bo nie miał kto, ale wiedziałem, że muszę się uczyć.

Przy szkole było boisko piłkarskie w małym formacie i sala gimnastyczna, ale tam chodzili wyczynowcy, a nie szara masa.

Na niektórych lekcjach np. śpiewania można było niepostrzeżenie wysmyknąć się na boisko i pokopać piłkę. Ale było duże zagrożenie, że jeśli nawinie się dyrektor i zapyta czemu się nie jest na lekcjach, to skutki będą opłakane.

W gimnazjum otrzymałem stypendium w wysokości 3000 zł na starą walutę. Pieniądze te stanowiły jedyne źródło do zakupu zeszytów, piór, ołówków itp., a ponadto, jeśli gospodyni gdzieś upatrzyła jakiś materiał, to na poczekaniu mogła uszyć koszulę lub spodenki. Braki w ubraniu dawały się odczuć.

W szkole odbywały się zabawy, a jak pójść, jeśli nie było w czym. Niezależnie od szkolnych zabaw odbywały się majówki w lesie w „Marysieńce”. Samochody dowoziły wszystkich chętnych bez opłat. Czasem korzystałem z tego transportu i z kolegami jechaliśmy

tam potańczyć. Sala była piękna, z tarasem a posadzka w sali szklana podświetlona od spodu.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nauczyciele nie kontrolowali tego przybytku. Ponieważ to nie była zabawa szkolna, to przyłapanie nas tam mogło skończyć się skreśleniem z listy uczniów.

Pamiętam, jeden raz tak dobrze się tańczyło, a tu w drzwiach profesor odłacin, z którym miałem nabakier za nędzne wyniki w nauce. Co było robić – skok przez okno na taras a z tarasu w las. Nie zdążyłem partnerkę przeprosić, tylko w szalonym skoku opuściłem taniec i salę. Po około godzinie zobaczyłem, że profesor odjeżdża i wówczas wróciłem na salę. Przeprosiłem swoją towarzyszkę tańca wyznając, że jestem uczniem i musiałem się ratować ucieczką.

Nieraz, jak jechało więcej kolegów, to jeden stał na czatach, a reszta się bawiła.

Czasem, chcąc się zabawić, towarzyszyłem orkiestrze, ponieważ wszyscy mnie znali to często zabierali i nie musiałem płacić za wstęp. A czasem dali zagrać na bębnie, jak któryś z orkiestry się urwał albo tańczył.

Brat kolegi pracował w browarze i fasował piwo. Kolega nie mógł go pić, bo był chory, więc przynosił je

mnie. Chętnie brałem, a ponieważ byłem jednym z samozwańczych „opiekunów” orzechów przy budynku ZMP, to miałem całkiem niezły zapasik i tak piłem piwo i zagryzałem orzechami. Piwo najczęściej brałem ciemne a było wyśmienite. Nieraz kolacji nie jadłem, bo wystarczyły orzechy i piwo. Tu muszę wspomnieć, że przez lato mieszkałem na strychu, gdzie był pokój z małym okienkiem na wysokości drugiego piętra. Strych był moim magazynem – w zgromadzonej karmie dla zwierząt (plewach po młóćce) składałem jabłka z sąsiednich sadów. Czasem późną wiosną znajdowałem świetnie zachowane jabłka.

Nie wiem, czy jeszcze wszyscy pamiętają, że ulicami przeciągnięte były druty do kołchoźników, czyli głośników, przez które nadawane były wiadomości. Z tych przewodów podłączyłem sobie też głośnik, a raczej słuchawki, które robiły straszne zakłócenia, ale o tym wtedy nie wiedziałem. Na strychu nie miałem światła i nie mogłem się uczyć lub czytać. Musiałem korzystać z kuchni – jak wszyscy poszli spać to ja czytałem książki lub uczyłem się. Najgorzej miałem z łaćciną, którą należało po prostu wkuwać – słówka i gramatykę. Niewiele mi się później przydała w życiu.

Po ukończeniu dziewiątej klasy trzeba było się opowiedzieć, czy wybiera się klasę pedagogiczną, czy dalej kończy się ogólniak. Ponieważ, jak wspomniałem, miałem zaległości z łaciną, więc postanowiłem zmienić szkołę. Zresztą nie tylko ja, było nas czterech, którzy razem chodziliśmy od czwartej kasy. Podobała nam się szkoła mechaniczno-lotnicza. Pojechaliśmy do Wrocławia – gdzie, owszem, chcieli nas przyjąć, ale do szkoły wojskowej. Należało napisać podanie o ochotnicze wstąpienie do wojska. Taka procedura nam się nie spodobała. Innych szkół o podobnym kierunku po dziewiątej klasie nie było. Do ogólniaka nie chcieliśmy wracać, bo czekała nas klasa pedagogiczna. Przypadek zdecydował – dowiedzieliśmy się, że w Raciborzu przy dawnej szkole handlowej utworzono dwuletnie technikum finansowe dla uczniów po szkole zawodowej finansowo-handlowej i dla uczniów po dziewiątej klasie, czyli tzw. małej maturze. Dość duża grupa zgłosiła się do tego technikum, było nas czterdzieści trzy osoby, w większości to były dziewczyny. Przekrój wiekowy i środowiskowy był różny. Od miejscowych hanysów, badylarzy, po wschodniaków, sybiraków. Mieszanka wybuchowa, ale mimo to

współpraca była dobra. Każdy z nas miał swoje wojenne przeżycia i to w jakiś sposób wymuszało porządek i współpracę. Większość z nas, poza miejscowymi, mieszkała w internacie na ulicy Bosackiej (obecnie tego budynku już nie ma).

A pomoc wewnętrzna była potrzebna, szczególnie w nauce. My z ogólniaka nie znaliśmy tajników finansowych, a ci po szkołach zawodowych o profilu finansów byli w tym orłami. Tak nam się wydawało, ale po roku różnice całkowicie się zatarły i wszyscy musieli intensywnie pracować, żeby dobrnąć do matury. Na taryfę ulgową nikt nie mógł liczyć. Część wykładowców była przedwojennych, ale część to była grupa młodych świeżo po studiach i wymagania ich były jeszcze wyższe. Na co dzień mogliśmy być kolegami, np. przy grze w siatkówkę, ale materiał należało opanować.

Szkoła nasza tylko jedno skrzydło miała czynne, tam odbywały się wykłady. A potrzeby rosły, młodzieży przybywało. Już roczniki przed nami rozpoczęły odbudowę zniszczonej części obiektu. Niektórzy uczniowie czyścili cegły, inni transportowali. Fachowcy mieli w nas pomocników i robota szybko postępowała, tak że już w drugim roku mogliśmy korzystać

z obu skrzydeł budynku. Odbываły się tam wszelkiego rodzaju pogadanki, przedstawienia no i naturalnie zabawy. Szkoła miała szereg zespołów do orkiestry włącznie. Nasza szkoła była najlepsza w mieście, co z kolei pozwalało na częstsze i dłuższe zabawy. Mieliśmy własnych porządkowych wyznaczanych na poszczególne uroczystości. Zadaniem ich było kontrolowanie, żeby na zabawę nie przychodzili obcy z innych szkół, a szczególnie osoby zakłócające porządek ustalony dla szkoły lub osoby pijane. Czasem zdarzało się, że nawet ktoś z naszych kolegów przeholował w „oranżadzie” i trzeba go było wyłączyć na jakiś czas z zabawy. Delikwent był otaczany przez kolegów, że niby nic się nie dzieje i sprowadzany bocznymi schodami do łaźni, gdzie zimny prysznic przyspieszał powrót do rzeczywistości. Każde zakłócenie ustalonego regulaminu powodowało szlaban – jakby dziś powiedzieć – na określony czas. Zdarzały się wyjścia na zabawy z internatu do remizy lub podobnych obiektów, a opiekunowie powiadamiani byli, że chcemy wyjść. Ja i mój kolega Teodor wysyłani byliśmy do kierowniczkii internatu z prośbą o wyrażenie zgody na takie grupowe wyjście. Umowa między

nami była następująca: za piętnaście dziesiąta cała grupa musiała się zebrać w określonym miejscu, tak żeby przed dwudziestą drugą przekroczyć bramę internatu. Przed wyjściem trzeba było przeglądać garderobę kolegów, co można by było pożyczyć. Jak część wychodziła, druga część zostawała w internacie czytając lub grając w ping ponga. Mieliśmy kolegę z krakowskiego, którego ojciec był w USA czyścicielem szyb i przysyłał mu paczki, a w nich głównie była odzież i ta często padała łupem kolegów, jedynie z butów nie korzystaliśmy, bo nosił 43 numer.

Było w zwyczaju, że jak szliśmy rano do szkoły to wstępowaliśmy gremialnie do kościoła na krótki „ojcze nasz”. Takie postępowanie nie podobało się władzom, no i stało się. Otrzymaliśmy zakaz wchodzenia do kościoła grupami. Takie polecenie naruszyło naszą wolność i w ramach protestu następnego dnia szliśmy gęsiego: najwyższy chłopak na przodzie aż do najniższego, a dziewczyny odwrotnie od najniższej do najwyższej, z tym że jedną nogą na chodniku drugą na jezdni. To dopiero rozsierdziło władze i nim pierwszy doszedł do szkoły, to dyrektorka już czekała. Efektem tego wyczynu było rozwiązanie internatu

i wysłanie wszystkich do domu po rodziców. Ze mną był problem, bo nie miałem gdzie jechać, no i nie miałem pieniędzy na utrzymanie się poza internatem. W internacie mieliśmy stare kucharki ślązaczki, które bardzo dbały o nas, mimo braków rynkowych. Zawsze można było przyjść po dokładkę lub kromkę chleba ze smalcem. Uradziły one, że przez te trzy dni przyjdą kolejno do internatu i coś upichcą tylko dla mnie. Tak wyglądał nasz pierwszy bunt, który, mimo że zakończył się ściągnięciem rodziców, nic nie zmienił w naszej postawie, bo nadal chodziliśmy do kościoła, tylko już nie grupami. W internacie liczył się zmysł organizacyjny. Wszelkie odpady stanowiły pokarm dla świń hodowanych przez starszego samotnego człowieka, którego również utrzymywały kucharki. Żyliśmy jak rodzina. Jak było świniobiecie, to mieliśmy i kaszanke i nawet kotlety. A smalec stanowił podstawową formę dodatku do wszystkich potraw i chleba.

Część uczniów miała rodziny na wsi i oni uzupełniali nam braki żywnościowe. Nikt nie przestrzegał norm żywieniowych. Często na obiad były kluski śląskie na parze z odrobiną masła i cukru. Cukier i smalec stanowiły bazę naszego odżywiania.

W drugim roku część młodzieży z internatu na Bosackiej przeniesiono do drugiego budynku przy ulicy Drzymały. Tam zajmowaliśmy drugie piętro, a na pierwszym mieszkały dziewczęta ze szkoły budowlanej. W sąsiednim pokoju, przez drzwi, mieszkał wychowawca, tak że głośniejsze rozmowy kończyły się pukaniem do drzwi. Okres ten to wytężona nauka, zabawy, gra w siatkówkę.

Warunki były trudniejsze, bo posiłki nadal odbywały się w poprzedniej stołówce i trzeba było na nie daleko chodzić (za Odrę). Niedobór żywnościowy uzupełnialiśmy w najbliższej rzeźni, gdzie sprzedawano wyroby z koniny, a że były dobrze przyprawione smakowały wyśmienicie. Najważniejsze, że były tanie. Bochenek chleba za dwa złote i kilogram kiełbasy stanowiły prawie codzienne uzupełnienie niedoboru kalorii. Przerwami w tym rytuale był brak gotówki. Wówczas sięgaliśmy po smalec domowy. Dziś taka dieta stanowiłaby naruszenie podstaw żywienia. My będąc w ciągłym ruchu odczuwaliśmy tylko wieczny głód. Nie pamiętam, jak radziliśmy sobie z praniem skoro ciepłej wody nie było, proszków nie było tylko mydło, ale mieliśmy jedno żelazko. Część kolegów

należała do klubów sportowych, między innymi do boksterskiego. Przynależność do klubu umożliwia wypożyczenie sprzętu – rękawic i trening bezpośrednio w sali. Każdy próbował swoich sił. Ja też musiałem zapoznać się z własnymi możliwościami i predyspozycjami. Warunki fizyczne do wagi najniższej miałem idealne. Silny jak na swoją budowę. Ręce długie i mocne. Walczyłem dość dobrze z równymi sobie, ale jak trafiłem na zawodnika, od którego kilka razy otrzymałem tak silne ciosy, że mnie zamroczyło, to zrzuciłem rękawice i skończyłem z boksem. Trener kilka razy przekazywał przez kolegów, żebym chodził na treningi, bo mam predyspozycje do boksu. Postanowiłem jednak odstąpić od tego rodzaju sportu. Nie chciałem być workiem treningowym dla silniejszych zawodników. Może byłem małej wiary w sukces, ale nigdy nie żałowałem tej decyzji.

Pracy mieliśmy coraz więcej, zbliżała się matura. Na niedzielę czasem niektórzy jechali do domu. Ja najczęściej byłem budzikiem, jeśli koledzy chcieli jechać to prosili mnie, żebym ich zbudził na pierwszy pociąg o 5.30. Do stacji kolejowej było blisko i czasem udawało się usłyszeć gwizd lokomotywy i jeszcze zdążyć. Ja i kolega, który był

miejscowego pochodzenia, ale również sierota, siedzieliśmy w internacie. Teodor miał dwóch młodszych braci, którymi zajmowała się ciotka, ale stan ich zdrowia nie był zadowalający i wkrótce pomarli.

Warunki powojenne zbierały żniwo – niedożywienie, brak należytej opieki medycznej, badań okresowych. Życie było trudne i nie wszystkie organizmy jednakowo to znosiły. Tuż po maturze najbliższy mój kolega zmarł na gruźlicę. Podobnie było z koleżanką, o śmierci której dowiedziałem się na pierwszym zjeździe absolwentów. Dużo mogliśmy zawdzięczać profesorom, którzy interesowali się nie tylko nauką, ale i warunkami z jakimi musieliśmy się borykać na co dzień. Jeden z profesorów – polonista, opiekun klasy, profesor Hipnarowicz – często przychodził do internatu, rozmawiał z nami, dzielił się swoimi doświadczeniami z okresu wojny. A to oddziaływało na naszą osobowość. Nieraz zapraszał nas do swojego mieszkania. Miał kawalerkę w Raciborzu, mieszkał sam, nie miał rodziny. Na nasze spotkania najczęściej przygotowywał truskawki ze śmietaną. Tam spotykaliśmy się we trzy lub cztery osoby i dyskutowaliśmy nie tylko o nauce, ale i o warunkach w jakich żyjemy i o tym co nas czeka.

Pamiętam zachowanie właśnie tego profesora w czasie śmierci Stalina. Otóż miała być atmosfera powagi i skupienia. Profesor, zamiast stać za pulpitem biurka, poszedł na koniec sali za naszymi plecami, żeby uniknąć wybuchu śmiechu (on nie widzi, że uczniowie się śmieją, a oni nie widzą, że on się śmieje).

Trzeba dodać, że mieliśmy w klasie informatora – donosiciela. Profesor zwrócił nam uwagę, żeby dobrze obserwować sąsiadów i ograniczyć dyskusje na pewne tematy przy różnych osobach, bo jest informator w naszej klasie. Powodów do dyskusji było dużo: wykopki ziemniaków, buraków spod lodu (co przy naszym wyposażeniu odzieżowym powodowało dodatkowe trudności). ZMP (Związek Młodzieży Polskiej) patronowało każdej akcji, a jak upominaliśmy się o ciepłą odzież to była cisza. Najczęściej kierownicy gospodarstw domyślali się naszej sytuacji i sami organizowali gorące mleko i bułki, żebyśmy się mogli rozgrzać. Mimo że wszyscy musieliśmy należeć do ZMP, to aktywiści nie mieli u nas posłuchu. Każdy z nas miał własny życiorys i bagaż doświadczeń. Każdy ze wschodu wiedział, co to znaczy „kołchoz” i jako przedstawiciel – prelegent ZMP, nie mógł szczerze nakłaniać do ich tworzenia.

Najtrudniej było rozmawiać z ludźmi z tamtych stron, którzy pamiętali walkę z kułakiem i głód. Po jakimś czasie zaprzestano tego propagandowego procederu. My musieliśmy się skupić na najtrudniejszym zadaniu – zdaniu matury. Do matury przygotowywało się w tym roku w naszej szkole pięć klas. Nasza klasa jako najstarsza – zebrana z ogólniaków i byłych uczniów, którzy ukończyli trzy klasy zawodowe. Klasa czwarta też około cztery lata ucząca się w technikum i trzy klasy utworzone po trzech latach nauki. W sumie około stu pięćdziesięciu uczniów zasiadło oddzielnie w auli do pisemnego egzaminu z trzech przedmiotów: język polski, matematyka i księgowość.

Po zdaniu przynajmniej na oceny dostateczne można było startować do ustnego egzaminu z pięciu przedmiotów. Zwolnienie z ustnego mieli tylko uczniowie, którzy pisemny napisali na piątkę (co było trudno osiągalne). Królowała zasada, że bardzo dobrze nie zna przedmiotu wykładowca, a co dopiero uczeń. My byliśmy gnębieni stopniami „minus minus dostatecznie”. Takie postępowanie nie było traktowane przez nas jako złośliwość lub obraza. Znosiliśmy to cierpliwie, bo wiedzieliśmy, że na maturę będziemy dobrze przygotowani.

Ja hołdowałem zasadzie uczenia się w kolektywie. Dziewczyny siedziały w stołówce i wkuwały cały materiał a później się przepytywały, w tym czasie siedziałem z innymi na werandzie i słuchałem. Metoda ta dała dobre wyniki. Opanowałem cały materiał z wyjątkiem księgowości, gdzie trzeba było ćwiczyć różne warianty i opcje. Z tym miałem od początku trudności, zresztą nie tylko ja. Mój kolega też nad tym siedział całymi nocami. Umówiliśmy się, że skontrolujemy poprawność księgowania poprzez porównanie sald.

Wreszcie nadszedł maj i matura.

Udało mi się zdać lepiej niż przypuszczałem. Z pisemnego dostałem dobry i nawet księgowość udało mi się napisać. Zadania okazały się łatwiejsze niż zakładali profesorowie. Przy egzaminie ustnym sam widok komisji, złożonej z dwunastu osób, wzbudzał strach. Kolejno podchodzili uczniowie wyczytywani po trzy osoby, losowali kartki z pytaniami, a po udzieleniu odpowiedzi kartki musieli zostawić do ponownego losowania. Niektórzy koledzy byli tak przestraszeni, że prosili o znaczenie kartek z łatwiejszymi pytaniami. Sposób był bardzo prosty, należało kartkę zgiąć

1953



ABSOLWENCI
WRAĆBÓRZU
FINAN.

1958

TECHNIKUM
MINIST. FINAN.



Prof. Nowogłaz Z. Prof. Kupa K.

Prof. Dobosz R.

Prof. Puźniak M.

Prof. Późdź M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.

Prof. Puźniak M.



na końcu, czyli zrobić małą fałdkę. Jednak pytania dla jednych łatwe, mogły być trudniejsze dla innych mniej przygotowanych. Pod koniec egzaminu wszystkie kartki były bardzo „wymęczone”. Również oczekujący byli coraz bardziej zestresowani.

Pamiętam, że odpowiadając z matematyki, a raczej rozwiązując zadanie, popełniłem błąd, który wykryłem w trakcie rozwiązywania zadania. Profesorka zauważyła, że chcę poprawić zadanie i zapytała, niby żeby nie przedłużać odpowiedzi, jakie operacje należy dalej dokonać, aby zadanie rozwiązać, a ponieważ było to trzecie i ostatnie pytanie podziękowała i mogłem odejść.

Już po egzaminie zapytała co spowodowało takie zamieszanie, bo wiedziała, że materiał miałem opanowany i należałem do grupy dobrych matematyków. Odpowiedziałem, że nie wiem, przeoczyłem. Nieco inne zdarzenie miałem z języka polskiego: na dwa pytania miałem przygotowaną odpowiedź, znałem zagadnienie, ale nad trzecim pytaniem głowiłem się, bo nie rozumiałem o co chodzi. W trakcie czasu przygotowawczego zbliżył się profesor, a ja zapytałem, co to za pytanie którego nie rozumiem. Okazało się, że przy przepisywaniu na maszynie, ktoś pominął jedną

linijkę, ale o tym dowiedziałem się później. Profesor podał mi karteczkę z treścią „na to pytanie odpowiesz to ...”, dziś już nie pamiętam jaka to była odpowiedź i jak odpowiadałem też tego nie rozumiałem. Uważam, że żaden z członków komisji nie podejmował tego tematu, bo też nie rozumiał pytania. Dziś to jest śmieszne, jednak musiałem mieć głupią minę mówiąc coś czego nie rozumiałem. Komisja pod koniec egzaminu zadała mi dodatkowe pytanie: kto to jest obywatel? Moja odpowiedź spodobała się, bo więcej pytań mi nie zadano. A odpowiedziałem, że jest to pełnoletni mieszkaniec kraju, który posiada prawa i obowiązki. Każdy z nas wychodził z sali egzaminacyjnej jak z magla. Najczęściej zadowolony, że zdał, że dwuletni wysiłek się skończył i otrzymało się tytuł „technik finansowy”.

Niektórzy czynili starania o dostanie się na studia. Kilku kolegów jeszcze przygotowywało się do matury z ogólniaka, bo chcieli iść dalej na politechnikę. Tak postąpił mój kolega Teodor. Pozostali otrzymali nakazy pracy na terenie województwa. Najbardziej oblegane były miejsca pracy w samym Raciborzu i Głubczycach. Profesor Hipnarowicz, nasz opiekun

klasowy i przyjaciel, zapytał, gdzie chciałbym pracować. Nie miałem jakiegoś upatrzonego miejsca czy instytucji. Powiedziałem, że wszędzie mogę pracować, ale ze względu na rodzinę w okolicach Strzelina to chciałbym gdzieś tam. Los mój padł na Grodków. Pięć osób od nas zostało skierowanych do Grodkowa. Ja i moja koleżanka z klasy otrzymaliśmy nakaz pracy w banku – ja w rolnym, koleżanka w NBP. Nakaz pracy obowiązywał od pierwszego września. My jednak nie otrzymaliśmy świadectw, aż do czasu odpracowania w Służbie Polsce jednego miesiąca przy żniwach. Cała męska młodzież z naszej klasy skierowana została na żniwa do PGR (Państwowe Gospodarstwo Rolne) Idzikowice koło Namysłowa. Od piętnastego lipca do piętnastego sierpnia 1953 roku musieliśmy pracować na 400 ha gospodarstwie rolnym (dokonać zbioru i omłotu zboża). Do dyspozycji były dwie pary koni i dwa ciągniki Zetor. W gospodarstwie poza kierownikiem był koniuszy, brygadzysta i traktorzyści. Nas ulokowano pod namiotami wojskowymi na pryzkach. Naszym zwierzchnikiem poza profesorem i przewodniczącym ZMP była intendentka z ramienia SP (Służby Polsce), która budziła nas, prowadziła do pracy i na posiłki.

Praca była ciężka, od szóstej rano do siedemnastej z przerwą na obiad. Wyżywienie marne, brak było należnego dodatku junackiego, czyli drugiego śniadania (a jak się zdarzyło, to była kiełbasa robotniczo-chłopska, rano czerwona, a na drugie śniadanie zielona). Część chłopaków wyznaczona była do składania snopków na polu, część do młócenia i wożenia. Napęd maszyny do młócenia stanowiła lokomobila. Brygada transportowa zabierała wymłócone na polu zboże spod maszyny i zawoziła do magazynu, a tam na własnych plecach trzeba było zatargać worki na drugie i trzecie piętro. Worki sypane były po 80 kg. Czy ktoś przestrzegał jakichś przepisów bhp? Nikogo to nie obchodziło, ważne żeby robota była zrobiona. Pamiętam takie zdarzenie: przede mną siedł kolega wzrostu 198 cm, zaczepił workiem o futrynę drzwi magazynu i worek spadł mu z pleców i poleciał w dół. Gdyby nie jakaś siła wyższa, która mnie zatrzymała na zakręcie, spadający worek połamałby mi nogi. Co prawda kolega krzyknął, ale worek był szybszy, a mnie tylko bokiem uderzył w nogę.

Pracowaliśmy uczciwie i domagaliśmy się przynależnych nam racji żywnościowych. Mimo kilkukrotnych

monitów odzewu nie było. Wreszcie ustaliliśmy, że jeśli w następnym dniu nie będzie lepiej, to wstrzymujemy pracę. Profesor wiedział co się szykuje, więc żeby uniknąć odpowiedzialności, wyjechał do „chorej” matki. Minęła godzina dziesiąta rano, wszyscy opuścili swoje miejsca pracy. Na polach pozostały wozy z końmi, maszyny zostały wyłączone i wszyscy wrócili do namiotów. Kielich goryczy dopełniły zepsute produkty, którymi zostaliśmy nakarmieni. Biegunka, odwodnienie organizmu, spadek wagi, to efekty potwierdzone przez lekarzy, którzy przyjechali z UB (Urząd Bezpieczeństwa). Do czasu przyjazdu lekarzy nie rozmawialiśmy z nikim. Najgorzej miał przewodniczący ZMP, którego dłuższy czas przetrzymywano, ale on również nie chciał rozmawiać. Każdy wzywany trzymał spodnie w ręku i pytał, czy ma się załatwić w namiocie. Jeden z biegunką nie wytrzymał i popuścił. Przesłuchania trzeba było przenieść do innego namiotu. My wszyscy pokładaliśmy się na pryczach i co chwila ktoś biegł w zarośla za potrzebą. Po przyjeździe lekarzy podano nam leki, zostaliśmy przebadani i zważeni (na marginesie – wtedy nie ważyłem nawet czterdziestu siedmiu

kilogramów), a potem lekarz zażądał zmiany jadłospisu. Po tym incydencie dochodzenie jeszcze długo było prowadzone, szukano przewodników, ale nikt im ich nie wskazał. Nasz profesor się wytłumaczył, że jego nie było, a o sytuacji z wyżywieniem informował placówkę SP. Drugi incydent miał miejsce pod koniec służby. Kierownik gospodarstwa zarządził pracę w dniu 15 sierpnia, a był to dzień świąteczny i nasz ostatni dzień pracy. Powiedzieliśmy, żeby wskazał co należy wykonać do tego i w tym dniu. Postanowiliśmy pracować dłużej, tak żeby zdążyć wszystko wykonać i piętnastego mieć wolne. Do późna zwoziliśmy zboże do stodół, potem sprzątnęliśmy te 40 ha. Na stacji kolejowej, gdzie część grupy oczekiwała na pociąg, doszło do awantury (być może był to efekt stresu, przepracowania) i została zdemolowana poczekalnia dworcowa. Ja jechałem w przeciwną stronę, udziału nie brałem, ale wiem, że było prowadzone dochodzenie w tej sprawie, jednak bez znalezienia winnych. Muszę wspomnieć o jeszcze jednym incydencie, który mógł skończyć się tragicznie. Jednego popołudnia kierownik wysłał ciągnik Zetor z przyczepą do Brzegu po płatki ziemniaczane. Jechał kierowca ciągnika,

pomocnik i robotnik. Nas czterech dokooptowano, żeby szybciej załadować worki suszu. Po załadowaniu okazało się, że kierowca jest pijany i nie nadaje się do jazdy. Wsadziliśmy go do paki przyczepy, sami usadowiliśmy się na workach. Ciągnik prowadził pomocnik. Jechał dość szybko, bo zbliżała się już noc. Nie wiem, czy sworzeń nie miał zabezpieczeń, czy coś innego się stało, ale ciągnik odłączył się od przyczepy. Przyczepa własnym pędem uderzyła w brzeg za rowem. Zaczep przyczepy znalazł się pod przednimi kołami. Muszę przyznać, że widząc jak pomocnik prowadzi to ostrzegłem chłopaków, żeby przeszli na tył przyczepy, bo tak będzie bezpieczniej. Niektórzy posłuchali, z przodu został pracownik PGR i jeden kolega, który mnie wyśmiał, że straszę ludzi. Pech chce, że moje przewidywania były słuszne. Skutki uderzenia były fatalne dla pracownika PGR – spadł z przyczepy, uderzył się w plecy tak, że nie mógł sam wstać, stracił okulary i pierwsze jego słowa to było „kaj sa moje bryle”. Baliśmy się, że będzie miał trudności w chodzeniu. Kolega widząc, że ciągnik się odczepił, wyskoczył na bok i to go uratowało od potłuczenia a może i czegoś gorszego. Nam z tyłu nic się nie stało, tylko nas przesunęło razem z ładunkiem

do przodu. W przyczepie pijanego kierowcę przyduśliły worki, niektóre popękały i baliśmy się, że płatki mogły mu dostać się do ust czy nosa. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy go wyciągnęliśmy, że nic mu się nie stało. Błędził tylko jak szewc nie rozumiejąc co się wydarzyło. Grzebaliśmy się z wyciągnięciem przyczepy prawie całą noc. Trzeba było rozładować płatki, przyczepę podnieść, żeby wyciągnąć zaczep spod przednich kół, wyprostować niektóre elementy hamulca najazdowego. W końcu wszystko było na tyle w porządku, że dało się jechać.

Tak skończyła się moja Służba Polsce.

Po tym okresie otrzymaliśmy świadectwa i nakazy pracy. Nieliczni tylko skorzystali z możliwości dalszego kształcenia, mimo iż świadectwo z Technikum Finansowego w Raciborzu upoważniało do kontynuowania nauki w uczelniach ekonomicznych. Z całej grupy siedemnastu chłopców z naszej klasy jeden poszedł na księdza i studiował w Nysie (gdzie parę razy go odwiedziłem), innego niedługo pokonała gruźlica, a reszta pracowała – niektórzy nie zawsze na wyznaczonych stanowiskach. Z siedmiu osób skierowanych do Grodkowa zostałem sam. Nie znaczy, że było mi

dobrze, ale nigdzie nie liczyłem na lepszy los. Opowiem jeszcze kilka zdarzeń, które wiążą się ze stryjkiem, wakacjami i urlopem. Czasem spotykałem się ze swoim bratem u stryjka na święta. Dojazd do domu stryjka to była „przygoda pociągowa” – najczęściej jechało się na stopniach lub stojąc na ławach obok wagonu. Zimą marzło się strasznie. Raz to nie mogłem wyjąć ręki z uchwytu, konduktor mnie odczepił i skierował do izby „dla matki z dzieckiem”. To było w Kamieńcu a rano (o czwartej) mnie zbudził na pociąg Kamieniec – Strzelin. A potem jeszcze tylko sześć kilometrów piechotą i już byłem w Kuropatniku. Stryjek miał już swoją rodzinę, a na utrzymywanie dodatkowych osób nie było go stać. Warunki pracy nie gwarantowały utrzymania. Stryjek, poza pracą etatową, dorabiał na roli i okazjnie ubojem świń u rolników. Nieraz jak byłem u niego to brał mnie do pomocy przy uboju i rozbiórce mięsa. Mnie ta praca nie odpowiadała, cały czas miałem „żołądek w gardle” i ciągnęło mnie na wymioty. Stryjek widząc, że się męczę zalecał wypić pięćdziesiątkę i zagryźć świeżo upieczonym lub ugotowanym mięsem (np. głowizną na salceson), twierdził, że to pomoże. Mnie to nie pomogło.

Jak byłem w wakacje lub na dłuższym urlopie to musiałem pomagać w gospodarstwie. Pamiętam koszenie jęczmienia kosami na pokosy. Młocka odbywała się nocami, bo w dzień brakowało prądu. Ja obsługiwałem młocarnię z prasą i odnosiłem worki ze zbożem na strych. Nad ranem to się śłaniałem na nogach. Bałem się, żeby nie upaść koło maszyny albo prasy. Nikt mnie nie zmuszał, ale jak wszyscy pracowali, to ja nie mogłem się lenić. Pracę znałem, maszyny obsługiwać umiałem i to się przydało. Jednego razu spotkaliśmy się z bratem u stryjka i poszliśmy do sąsiedniej wioski (chyba nazywała się Kaczerki) na zabawę w czeskiej świetlicy. Po przyjeździe okazało się, że to zwykła szopa. Orkiestra pięknie grała, ale była straszna ciasnota. Ja zrezygnowałem z takiej zabawy. Brat został i tylko dał mi latarkę, żebym nie zabłądził wracając. Już na pierwszym rozwidleniu miałem problem, którą drogą pójść, latarka niewiele pomogła, bo nie było drogowskazów, ale jakoś się udało i trafiłem do domu. Innym razem stryjek z teściem uradzili, żeby jechać do Wrocławia po węgiel na zimę. Jechałem ze strykiem furmanką, dojechaliliśmy na Plac Grunwaldzki, stamtąd na ulicę Clary Zetkin, gdzie mieszkał znajomy, który przygotował

dla nas dwie tony węgla. Jeszcze za dnia załadowali-
śmy wóz, potem odstawiliśmy konie do garażu, prze-
nocowaliśmy i dopiero następnego dnia wyjechaliśmy
w drogę powrotną. Wrocław był jednym wielkim gru-
zowiskiem, trudno było manewrować wozem, trud-
no było znaleźć drogę powrotną (pomógł nam kole-
jarz idący do pracy). Drugi raz byłem we Wrocławiu
na wycieczce szkolnej, pojechaliśmy na Wystawę
Ziem Odzyskanych. Widziałem jak taternicy wspinali
się na iglicę, żeby zdemontować lustra.

Pewnego razu udało mi się zabawić na sylwestra
w domu kultury w Strzelinie. Brat stryjenki zabrał
mnie swoją SHL-ką, potwornie zmarzłem w czasie
jazdy. Tam spotkałem znajomych z Mariampola –
Rogowskich. W czasie wojny mieszkali w synagodze,
dlaczego tam się przenieśli, nie wiem. Synagoga sąsia-
dowała z naszym domem. Wiem, że było ich pięcioro –
cztery córki i syn Edek. Dwie córki były w moim wie-
ku i mogłem z nimi potańczyć.

Innym razem ogrodnik z Kuropatnik wynajął stryj-
ka do przewiezienia pomidorów i innych warzyw
do Dzierżoniwa. Ponieważ stryjek pracował, to ja
musałem pojechać razem z ogrodnikiem. Sama jazda

furmanką to dla mnie nic nowego, ale targ to było coś. Furmanki z drobiem, z warzywami, kupcy, przeważnie Żydzi, targowali się o każdą złotówkę. Obok był rolnik z gęsiami w kojcu, po minucie kojec był pusty – klient brał gęś i nie płacił tylko oglądał. Rolnik znał ten numer i kazał odłożyć gęsi do kojca i najpierw płacić, a potem dopiero brać. Jeszcze innym razem uczestniczyłem, jako rodzina stryjka, w uczcie weselnej. Strzyjek szykował wyroby wędliniarskie na to wesele. Rodzina młodej pary pochodziła gdzieś z centralnej Polski i całe wesele było śpiewane różnymi przyspiewkami. Pierwszy raz coś takiego widziałem i słyszałem, podobało mi się. W czasie tego wesela zrobiłem psikus – na pierwszy toast wlałem do kieliszków wodę zamiast wódki. Jakie było zdziwienie, że toast nikogo nie zakrztusił. Udawałem, że nie wiem o co chodzi, z poważną miną skosztowałem i z pretensjami zwróciłem się do gospodarza wesela. Nie wiem, skąd taki pomysł mi się zrodził, ale goście mieli ubaw. Wieczór zapowiadał się pięknie, orkiestra grała, ja lubiłem tańczyć, bawiłem się na pięttrze. Po jakimś czasie strzyjek zawołał mnie na dół, gdzie cała rodzina bawiła się rozmową i piciem. Naturalnie też wypilem kilka kieliszków, ale

to nie było szczęśliwe dla mnie. Źle się poczułem, wyszedłem na pole, wymiotowałem, mróz mnie trochę otrzeźwił. Wróciłem do budynku stryjka, ułożyłem się do snu. Wszyscy mnie szukali, ale dopiero rano znalazł mnie stryjek. Tak zakończyła się moja przygoda z piciem alkoholu.

Wieś żyła swoim życiem. Mecze na boisku, wieczorem śpiewy. Młodzi umawiali się na randki. Czas szybko mijał. Wakacje się kończyły.

Jeszcze innego razu stryjek zastępował piekarza i musiałem z nim pracować w piekarni. Nie była to ciężka praca tylko pilnowanie temperatury na zewnątrz i wewnątrz, żeby ciasto dobrze wyrosło i nadawało się po obróbce i ważeniu do koszyczka. Wakacje szybko mijały i trzeba było wracać do szkoły. Poza stryjkiem, stryjenką i ich rodziną nie mieliśmy (ja i mój brat) nikogo. Warunki życia były ciężkie dla wszystkich, trudno się dziwić, że nikt nami się nie interesował.

I jeszcze jedno wspomnienie związane ze stryjkiem – jednego roku stryjek zafundował mi ubranie u krawca. Chodziłem w nim aż do wykończenia. Drugim razem to profesor Hipnarowicz opłacił mi uszycie

ubrania, w którym zdawałem maturę a później chodziłem nawet do pracy.

Pierwszego września 1953 roku zacząłem odpracowywać nakaz pracy w Banku Rolnym w Grodkowie. Mieszkania nie miałem, warunków do otrzymania tegoż także nie miałem, mimo iż nakaz pracy mówił, że przysługuje mi mieszkanie, a w przypadku braku można zrezygnować z nakazu. Większość z tego korzystała. Ja zdecydowałem się wytrwać. Pierwsze miesiące były bardzo trudne. Dojeżdżałem autobusem z Kuropatnika, gdzie mieszkałem u stryjka. Do przystanku miałem osiem kilometrów, zimą marz-



łem okropnie. Później zamieszkałem w Grodkowie przy rodzinie w wydzielonym pokoju. Chleb i kawa to śniadanie, obiad w gospodzie, no i praca po południu. Roboty było dużo, a ludzi brakowało, na siedem etatów pracowały tylko cztery osoby.

Placówka Banku Rolnego

mieściła się w pomieszczeniach NBP w Ratuszu. Mój szef nie był z przedwojennej inteligencji bankowej, ale miałem szczęście, że spotkałem ludzi, którzy pracowali przed wojną w bankowości i umieli przekazać mi zasady poprawnego traktowania interesantów. Zawsze powtarzali, że trzeba mieć na uwadze, że dziś jesteśmy z tej strony lady, a możemy być z drugiej strony jako interesanci. Dla każdego trzeba mieć pełny szacunek, bo oni utrzymują nas jako pracowników. Jak wspomniałem, pracy było dużo, sprzętu i ludzi mało, żeby wywiązać się z zadań trzeba było więcej i dłużej pracować. Dla mnie jako kawalera nie stanowiło to problemu, ale dla pozostałych ciągle siedzenie w pracy to był problem. Pamiętam, że w grudniu i aż do marca siedziało się na okrągło na dwie zmiany. W tym czasie nie było żadnej mechanizacji, jeden sumator i jeden kręciołek, a kto umiał to mógł liczyćdłem się posługiwać. Mimo trudności atmosfera w pracy była fantastyczna. Wszyscy byliśmy młodzi, brak było zawiści, zarozumiałstwa, jeden drugiemu pomagał, uczył, doradził, jeśli potrafił. Każdy liczył, że jutro będzie lepiej. Zarobki nie były duże, na początku dostałem 400 zł plus dodatek bankowy 150 zł. Siedem godzin pracy

dziennie według układu bankowego. Za ubranie trzeba było zapłacić 1200 zł. Pamiętam, że składałem na ubranie przez szereg miesięcy.

Takie były początki mojej pracy. Mego samodzielnego gospodarowania. Dzielenia marnej pensji na codzienne potrzeby. A przecież nic nie miałem. Nieco lepszy start mieli ci, którzy mieszkali z rodzinami, im łatwiej było pokonywać codzienne trudności.

Samo miasto nie nastrajało pozytywnie, wokół ratusza same gruzy. Zimą trzeba było odśnieżać wokół ratusza, w biurach rozpalić w piecach i dopiero zaczynać pracę. Przygotowanie zawodowe, które otrzymałem, było mało przydatne. W czasie wykładów nikt nie wspomniał jakie zadania ciążyą na jednostkach bankowych, jak wygląda ich praca w połączeniu z innymi jednostkami. Pamiętam taki incydent, że sporządzając noty memoriałowe zastosowałem do operacji bankowych zasadę księgowości w przedsiębiorstwie, a nie w bankowości. Mój szef zwrócił mi uwagę, że księgowania muszą być odwrotne w banku w stosunku do stosowanych w przedsiębiorstwie. Zasada ta ułatwiła mi późniejsze całe działanie. Bank Rolny zajmował się obsługą rolnictwa, a ponadto kredytował całą

akcję osiedleńczą. Rolnictwo było uspołecznione: PGR-y i Spółdzielnie Produkcyjne. O ile w PGR-ach obsada była jako tako księgowo unormowana, to dla spółdzielni my prowadziliśmy szereg zapisów odnośnie nakładów inwestycyjnych i obrotowych. Księgowy w spółdzielni, jeśli potrafił zestawić bilans to już było bardzo dobrze. Najczęściej księgowi korzystali z pomocy rachunkowiczów zatrudnionych w Związku Spółdzielczym. Wydatki inwestycyjne uzgadniane były z bankiem.

W organizowaniu spółdzielni, ich finansowaniu i nadzorze uczestniczyli wszyscy od komitetów partii po rady gromadzkie i powiatowe i cały nadzór budowlany. Kredytowanie każdego przedsięwzięcia inwestycyjnego poprzedzone było przygotowaniem dokumentacji budowlanej, zezwoleniem budowlanym i rachunkiem ekonomicznym danej budowy. Gdyby jednak nie zmieniały się potrzeby państwa w zależności od nacisków politycznych, to ta działalność miałaby głębszy cel.

Podejmowane decyzje o kierunku produkcji czy hodowli często zmieniano, reorganizowano, a poczynione nakłady przepadały. Podobnie się działo w PGR-ach. Najkorzystniejszy okres gospodarczo przypadał

na jednostki, kiedy były na „wewnętrznym rozrachunku”, czyli wynikiem był zysk i tę metodę trzeba było utrzymać. Jednak dążenie do zysku ograniczała ingerencja z zewnątrz (polecenia partyjne). Wówczas zaczęto łączyć gospodarstwa złe z dobrymi, co dawało umiarówkę i system się sypał.

Po 1956 roku w powiecie grodkowskim pozostało jedynie dziesięć starych spółdzielni produkcyjnych. Cały majątek maszynowy i inwentarzowy został rozebrany przez członków spółdzielni i gdzie zarząd likwidacyjny był dobry nie zmarnowano wiele. W niektórych spółdzielniach za spisany imiennie inwentarz trzeba było zapłacić gotówką lub poprzez zadłużenie się w banku. Budynki spółdzielcze najczęściej były niewykorzystane i niszczały.

Rolnictwo polskie w tym okresie ponownie cofnęło się przynajmniej o dziesięć lat w stosunku do świata. Taka kolej rzeczy nastąpiła ponownie po roku 1989, gdy cała gospodarka kraju została zniszczona – ale to mój punkt widzenia. Historia na pewno oceni to według swoich kryteriów.

Z perspektywy lat muszę stwierdzić, że miałem dużo szczęścia w życiu. Ciągle miałem przed oczyma

przestrożę, którą dał mi mój profesor Hipnorowicz wręczając nakaz pracy. Idziesz między różnych ludzi, będą tam i pijący, pamiętaj, żebyś z nimi nie zaczynał, bo pójdziesz złą drogą. Wybieraj zawsze właściwy cel w życiu pomagając ludziom, a zyskasz autorytet i szacunek. Wskazówka ta bardzo mi pomogła. Nie dorobiłem się majątku, ale zawsze byłem dobrze oceniany przez jednostkę nadrzędną, która powierzyła mi kierowanie placówką Banku Rolnego przez okres pięciu lat (mimo iż nie należałem do ludzi z legitymacją partyjną).

W 1965 roku pojechałem do swojego rodzinnego miasta – Mariampola (Ukraina). Nie umiałem rozpoznać miejsca, gdzie stał nasz dom. Cegłę wybrano do fundamentów, sad wycięto, budynki gospodarcze rozebrano prawdopodobnie na opał. Zamek nad Dniestrem jako taki nie istnieje, została tylko brama wjazdowa i aleja lip wyznaczająca drogę na zamek.

W grodkowskich czasach „walki” o mieszkanie spotkałem moją przyszłą żonę Danusię. Znałem ją jako małą dziewczynkę, bo jej brat chodził z moim bratem do szkoły jeszcze na Wschodzie. Spotkaliśmy się przypadkiem we Wrocławiu i tak się zaczęło, najpierw

narzeczeństwo, a potem w 1956 we wrześniu ślub. Dwa lata później urodził nam się syn Janusz. Po porodzie żona zaczęła chorować. Teściowie opiekowali się dzieckiem, a ja musiałem pracować i dojeżdżać do szpitala we Wrocławiu, gdzie leżała żona. W międzyczasie dostałem mieszkanie w bloku odbudowanym przez Ministerstwo Rolnictwa. Później okazało się, że mieszkańcy niebędący pracownikami resortu rolnictwa, muszą płacić podwójny czynsz. Ale po restrukturyzacji banku zmieniłem pracę (1971r.) i zatrudniłem się w POM (Państwowy Ośrodek Maszynowy) Grodków i skończyły się nagabywania o podwójny czynsz. Żona ciągle chorowała, nie mogła podjąć pracy. Szukałem sobie dodatkowych zajęć, żeby zarobić i tak zostałem pszczelarzem. Od znajomego dostałem dwa ule, trzy sobie dokupiłem, a kolejne budowałem sam z różnych odpadów drewnianych. Początkowo pszczoły trzymałem u teściów w Samborowiczkach. Przez dwanaście lat jeździłem motorem 24 km w jedną stronę. Szukałem innego, bliższego miejsca na ule. Znalazłem dobre miejsce w lesie i tam usadowiłem swoje ule. Drugim „pochłaniaczem czasu” był ogródek działkowy. Nowe nasadzenia, ulepszenia, zawsze

coś do roboty było, a potem plony trzeba było zagospodarować i robić przetwory (ale to już była domena żony). I tak zleciało mi życie.

W 2021r. pożegnałem żonę. Dwa lata wcześniej pożegnałem brata (brakuje mi jego humoru i uporu z jakim podchodził do życia). Siostra pozostała na Ukrainie, mieszka w Stanisławowie (Iwanofrankowsku). Jest już wdową (mąż był wojskowym, więc nie mogliśmy się swobodnie odwiedzać), ma dwóch synów – również byli wojskowymi, teraz są emerytami.

Spisałem te wspomnienia dawno temu w chwili załamania, a teraz dokończyłem. Wszystkiego nie ująłem, bo to jest niemożliwe.

Po latach otrzymałem od siostry odpisy metryk moich rodziców. Moja mama Włodzimiera Wołczuk urodziła się siódmego marca 1910 roku. Jej rodzicami byli Elizawieta Matjewna i Wołczuk Kornel Dmitrowicz. Mój tata Wiktor Jarosławski urodził się dwudziestego trzeciego grudnia 1907 roku. Jego rodzicami byli Albina Molitowska i Franciszek Jarosławski. Włodzimiera i Wiktor ślub wzięli w 1929 roku, przeżyli razem szesnaście lat. Zostali zamordowani w 1945 roku. Nie mam ich zdjęć, nie mam po nich

żadnej pamiątki. Jedyne co mi pozostało po rodzicach to wiara, którą cały czas (mimo różnych warunków i okoliczności) pielęgnowałem. W Głubczycach w kościele parafialnym z lewej strony w nawie był mariampolski obraz Matki Boskiej Zwycięskiej. Tam często chodziłem modlić się i słuchać mszy świętej. Dziś ten obraz jest we Wrocławiu na Piasku w kościele Najświętszej Marii Panny, ukoronowany dziesiątego września 1989 roku przez papieża Jana Pawła II. W tym kościele odbywały się co roku odpusty na ósmego września, w których starałem się uczestniczyć. Od paru lat nie jeżdżę, bo pandemia zmieniła cały tok spotkań. Nie ma już księdza organizatora. Starszych ludzi już nie ma, a młodych mniej interesują te przeszłe sprawy. W tym kościele wmurowana jest tablica poświęcona ludziom z Mariampola, którzy zginęli w czasie wojny i od band UPA. Na tej tablicy figurują również moi świętej pamięci rodzice.





*Mimo trudności, z jakimi się borykałem,
byłem zadowolony z każdego dnia.
Szczęście i intuicja ratowały mnie
w trudnych chwilach. I dobrzy ludzie,
których spotkałem na swojej drodze.
Dziękuję im.*



Ryciny na okładce
autorstwa Tadeusza Grucholskiego i Edwarda Jaworskiego:
str. 1. Budynek Domu Ludowego ufundowany ze składek mieszkańców,
str. 4. Kościół klasztorny – obecnie więzienie

Fotografia obrazu Matki Boskiej Mariampolskiej:
Wikipedia.pl

Copyright © Karol Jarosławski 2024

